



WYDAWCA

Koło Naukowe Romanistów Studentów UJ
Instytut Filologii Romańskiej
Al. Mickiewicza 9/11
31-120 Kraków
e-mail: romanuj@o2.pl

REDAKTOR NACZELNY

Luiza Szpatowicz

KOREKTA

Luiza Szpatowicz
Katarzyna Wójtowicz

PROJEKT OKŁADKI

Paweł Walkowiak

OPIEKUN NAUKOWY

Dr Ewa Andruszko

Od redakcji

Drogi Czytelniku,

Z dużym opóźnieniem, ale jednak, składamy na Twoje ręce dziewiąty numer pisma studentów Filologii Romańskiej UJ *Roman*, którego temat przewodni brzmi MAŁE... Temat, trzeba przyznać, niejednoznaczny i budzący, celowo, wiele skojarzeń. Dzięki temu, przedstawić możemy artykuły bardzo się od siebie różniące nie tylko materia, ale i podejściem, nawet jeśli skupione są wokół tego samego twórcy, jak w przypadku tłumaczenia opowiadań Tudora Octaviana.

Mamy ogromną przyjemność powiadomić również, że wśród autorów pojawiły się dwie bardzo odważne osoby, które postanowiły podzielić się z nami własną twórczością. Rita i Agnieszka – brawo!

W numerze dziewiątym znalazło się także sprawozdanie z Prix Goncourt 2008 oraz z Nagrody Goncourtów – wybór polskich studentów 2008, która jest dla nas tym ważniejsza, że nagrodzona przez studentów książka jest obecnie przedmiotem warsztatów tłumaczeniowych, które prowadzą: znana tłumaczka na język francuski, Pani Zofia Bobowicz oraz nasi wykładowcy, Pani dr Ewa Andruszko i Pan dr hab. Wacław Rapak.

W ostatnich słowach pragniemy podziękować wszystkim tym, którzy przyczynili się do powstania tego numeru oraz Pani dr Ewie Andruszko – opiekunowi Koła Naukowego Romanistów, która zawsze znajduje czas i siły, aby nam pomóc.

Na wszelkie uwagi, rady, zgłoszenia, etc, nie tylko w sprawie *Romana*, ale także działalności Koła Naukowego, czekamy pod adresem: romanuj@o2.pl.

Redaktor naczelny
Luiza Szpatowicz

Spis treści

Luiza Szpatowicz	Od redakcji	2
LITERATURA		
Luiza Szpatowicz	Mała książeczka znów wygrywa – krótki raport o Nagrodzie Goncourtów 2008 we Francji i w Polsce.	4
Artur Techmański	La résurrection des corps dans un grain de sésame - l'os sésamoïde dans <i>De humani corporis fabrica</i> d'André Vésale.	5
Luiza Szpatowicz, Katarzyna Wójtowicz	Od średniowiecza do współczesności – o poezji francuskiej najkrócej jak się da, czyli zaproszenie na wieczorek poetycki.	8
Rita Osińska	Małe przemyślenia – debiut poetycki.	9
Agnieszka Such	Krótkie formy – twórcze formy. Warsztaty pisarskie.	10
Luiza Szpatowicz	Mało słów , wiele treści – kilka zdań o poezji Luisy Famos.	14
JĘZYK		
Katarzyna Wójtowicz	Dialekty retoromańskie – oraz <i>romanche</i>.	16
Katarzyna Wójtowicz	Język mniejszościowy - kilka obserwacji na temat stosunku do języka oksytańskiego wśród Francuzów.	17
KULTURA		
Karolina Czarnecka	Miniatury – małe Wielkie dzieła sztuki.	18
Luiza Szpatowicz	Jest taki mały teatr... <i>Les Capricieuses</i>.	21
TŁUMACZENIA		
Olga Bartosiewicz	Małe... formy literackie - opowiadanie Tudora Octaviana.	22
Przemek Dębowski	O wzajemnych relacjach ludzi niskich i wysokich – tłumaczenie dwóch opowiadań Tudora Octaviana.	23
Katarzyna Piekarcz	Niewielka strata? Matilde Serao - <i>Cnota Checchiny</i> (fragment).	25
Anna Nowak	Powieść jako forma krótka? Alexandro Zambra - <i>Życie prywatne drzew</i>.	30
Katarzyna Wójtowicz	Kilka tłumaczeń prozy i poezji oksytańskiej.	31

Luiza Szpatowicz
Filologia romańska, V rok

Mała książeczka znów wygrywa – krótki raport o Nagrodzie Goncourtów 2008 we Francji i w Polsce

Jak co roku, w okolicy połowy października, jury Akademii Goncourtów we Francji ogłosiło listę piętnastu powieści, spośród których wybrany ma być jeden laureat, zarówno przez jury Akademii, jak i francuskich licealistów oraz polskich studentów filologii romańskiej. W tej tzw. *première sélection* znalazły się następujące książki:

Jean-Baptiste Del Amo: *Une éducation libertine*¹
Salim Bachi : *Le silence de Mahomet*
Christophe Bataille : *Le rêve de Machiavel*
Mathieu Bezezi : *C'était notre terre*
Jean-Marie Blas de Roblès: *Là ou les tigres sont chez eux*
Catherine Cusset: *Un brillant avenir*
Jean-Louis Fournier: *Où on va, papa ?*
Valentine Goby : *Qui touche a mon corps je le tue*
Alain Jaubert : *Une nuit à Pompéi*
Michel Le Bris : *La Beauté du monde*
Catherine Millet: *Jour de souffrance*
Patrice Pluyette: *La Traversée du Mozambique par temps calme*
Atiq Rahimi: *Syngué Sabour*
Olivier Rolin : *Un chasseur de Lions*
Karine Tuil : *La Domination*

Mimo możliwości zatrzymania książek przez członków jury, podobnie jak w poprzednich latach, jury Uniwersytetu Jagiellońskiego zadecydowało, że wszystkie wyżej wymienione powieści zostały przekazane bibliotece Instytutu Filologii Romańskiej.

Wewnątrzuniwersytecki wybór UJ miał miejsce 15 października. Trzeba zaznaczyć, że trwał on znacznie dłużej niż rok wcześniej, a to za sprawą ogromnej różnorodności pod względem tematów, jak i warsztatu pisarskiego, która u części obradujących zbudziła niewyobrażalną wolę walki o zwycięstwo faworyta, u innych zaś wywołała poczucie zagubienia czy bezsilności wobec konieczności porównania i wyłonienia najlepszego spośród bardzo odmiennych stylistyk, po prostu do siebie nieprzykładalnych. Dlatego właśnie nie powinien nikogo dziwić fakt, że pierwsze, drugie i trzecie miejsce zajęły odpowiednio: *Où on va, papa?*, *Syngué Sabour*, *Le rêve de Machiavel*, książki, które łączy tylko to, że należą do gatunku powieści.

¹ Powieść ta nie brała udziału w wyborze polskich studentów, gdyż nie została wysłana przez wydawnictwo.

24 października nasze dylematy znalazły odbicie w obradach ogólnopolskich pod honorowym patronatem Pani Agnieszki Taborskiej, pisarki, tłumaczki i historyka sztuki. Członkinie jury mogły zgodzić się do jednego – że każda z tych pozycji jest oryginalna w stosunku do pozostałych i ma w sobie coś, co zasługuje na nagrodę. Bardzo trudno jest stwierdzić, dlaczego właśnie *Là ou les tigres sont chez eux* - książka licząca ponad 780 stron, którą jedna z naszych koleżanek określiła jako powieść *par excellence*, o tysiącu wątków, formą nawiązująca do powieści barokowej, miałoby być lepsze od *Où on va, papa ?* – niewielkiej objętościowo książeczki, którą przeczytać można w godzinę, opowiadającej w sposób lekki, zabawny, czasem ironiczny o bardzo trudnym temacie, jakim jest wychowanie niepełnosprawnych dzieci. Dlatego też, choć nie było jeszcze zimy i słońce nie zachodziła przed godz. 17, z sali Instytutu Francuskiego wyszliśmy, gdy na dworze panował już mrok. Nie umiem powiedzieć, czy wszyscy zadowoleni byli, że laureatem został Atiq Rahimi, autor *Syngué Sabour*, czyli, podobnie jak w przypadku ubiegłorocznego zwycięzcy, powieści naprawdę niewielkich rozmiarów.

To co może zaskakiwać, to fakt, że kilka dni później Akademia Goncourtów dokonała tego samego wyboru, co nie zdarza się zbyt często.

Na kształt recenzji



Syngué Sabour. Pierre de patience to pierwsza powieść w języku francuskim tego czterdziestosiedmioletniego

pisarza pochodzącego z Afganistanu. Jednak nie to jest najważniejsze w jego dziele i nie powinno wpływać na obiór lektury.

Nie chcę tutaj szczegółowo przedstawiać treści; lepsze z pewnością dla każdego czytelnika będzie przeczytanie książki. Pragnę jedynie zaznaczyć, że to, co mnie się najbardziej w niej podoba, to forma (ogromnie przypominająca gatunek *nouveau roman* i *stylo-caméra*), która idealnie współgra z treścią.

Myślę, że nie będzie nadużyciem, jeśli powiem, że to właśnie zewnętrzny kontrast buduje harmonię tego dzieła i jest jego ogromną zaletą. Otóż, opisana historia jest bardzo wzruszająca, dotyka problemów ważnych w aktualnym świecie – afgańska kobieta zajmuje się swoim mężem, w wyniku postrzału nieprzytomnym od wielu dni, którego nie kocha i który w ogóle jej nie zna. Wychowana w duchu posłuszeństwa i uniżonego szacunku wobec mężczyzn, wartości, które w interpretacji patriarchalnego społeczeństwa uświęcone mają być religią Islamu, walczy

o własną tożsamość i resztki wewnętrznej wolności, martwiąc się jednocześnie o przyszłość swoich dwóch córek. Można by było w tym momencie pokusić się o stwierdzenie, że mamy do czynienia z powieścią zaangażowaną. To byłoby jednak spore niedopowiedzenie. Bowiem bardzo istotny jest także sposób, w jaki autor pokazuje nam ten świat i to on w dużej mierze stanowi o sile tej powieści. Właśnie dzięki „chłodnej”, trzecioosobowej narracji opartej na dystansie, ubranej w przeważającej części w krótkie, proste zdania lub równoważniki zdań, przypominającej didaskalia w sztuce lub scenariuszu oraz wyznaczeniu mocnego rytmu, akcentującego momenty ważne i przełomowe, czytelnik wyczuwa to niezwykle napięcie akcji, pozornie dość statycznej, napięcie, któremu w końcu musi się poddać. Tak oto niewielka ilość słów zawarła w sobie ogromną ilość treści, także pozawerbalnej.

Nie wolno zapominać również o pewnej uniwersalności tego tekstu, którą podkreślił sam autor, zaznaczając na pierwszych stronach, że historia ta dzieje się w *Afganistanie lub gdzie indziej*. Obawiam się jednak, że nie wystarczy to, żeby uchronić go przed zarzutami o „poprawność polityczną” w wyborze Akademii Goncourtów oraz przed ukierunkowanymi interpretacjami treści, którą przecież odczytywać można na wielu poziomach.

Artur Techmański
Filologia romańska, V rok

La résurrection des corps dans un grain de sésame – l'os sésamoïde dans *De humani corporis fabrica* d'André Vésale



Figure 1

Squelette vu de profil (ou «squelette méditant»)
André Vésale, *De Humani corporis fabrica libri septem*, p. 204.

L'image de certaines sciences naturelles cultivées à la Renaissance peut paraître aux yeux des chercheurs modernes pour le moins bizarre, sinon tout à fait fantastique. Le domaine de la médecine en fournit un exemple particulièrement remarquable: loin d'être dominée par l'esprit cartésien des époques postérieures, elle se trouve au croisement des méthodologies rationnelles, des pratiques divinatoires et des croyances magiques, voire occultistes. Les témoignages n'en manquent pas: il suffirait de rappeler le succès foudroyant des traités de physiognomonie, tel *De humane physiognomoniam* de Giambattista Della Porta¹, ou le célèbre *Discours de la Mumie, des Venins, de la Licorne, de la Peste*, publié en 1582 par Ambroise Paré². Cependant, vu qu'une analyse approfondie de ces ouvrages dans ce contexte serait en opposition avec l'idée directrice de ce numéro de *Roman*, nous avons choisi quelque chose de plus petit que la licorne pour illustrer ce phénomène.

De prime abord, l'ouvrage monumental d'André Vésale qui jouit dernièrement d'un regain

¹ À propos de cet art de lire/prédire le caractère de l'homme à partir des traits de son visage cf. Jean-Jacques Courtine et Claudine Haroche, *Histoire du visage*, Éditions Payot & Rivages, 2007.

² Considéré aujourd'hui comme le père de la chirurgie moderne, Ambroise Paré a acquis tout son savoir sur les champs de bataille, sans jamais faire les études de médecine! La qualité et la précision de son œuvre sont souvent supérieures à celles des anatomistes universitaires, ses observations étant fondées non seulement sur les cadavres mais aussi sur les corps des agonisants. Toutefois, dans le discours cité ci-dessus, tout en dénonçant les vertus fabuleuses du corne de licorne, il ne nie pas pour autant l'existence de cette bête mythique.

d'intérêt notable¹ ne semble pas propice à un tel dessein. Remarquable essentiellement par son apport dans les études anatomiques² et les gravures spectaculaires³ représentant les squelettes dans les poses qui dépassent les inventions controversées de Gunther von Hagens, *De humani corporis fabrica* contient encore un petit détail mystérieux que la plupart des critiques mettent dans le placard. À la fin du chapitre XXVIII (Livre I) consacré aux petits os de l'orteil, après une description prolixe de leur forme et leurs fonctions, l'anatomiste s'écarte d'une manière inattendue de son analyse naturaliste, pour conclure sur les réflexions d'ordre théologique et eschatologique. Parmi tous ces os, il remarque un, plus petit que les autres, mais dont la dureté est tout à fait exceptionnelle; observation qu'il glose en ayant recours aux sciences occultes : "Unde etiam suspicor magos & occultæ philosophiæ sectatores huius ossis meminissem, quum in homine durum quoddam, & nulli corruptioni obnoxium, & ciceri imagine respondens ossiculum esse tradunt." ⁴ Le phénomène de l'incorruptibilité miraculeuse de cette ossicule une fois révélé, quelques questions fondamentales surgissent et, tout d'abord, qui sont précisément les "mages et disciples de l'occultisme" qui ont transmis à Vésale cette tradition secrète ?

L'idée d'un os indestructible autour duquel sera recomposé tout le corps le jour du jugement dernier remonte aux commentateurs juifs du Pentateuque du III^e siècle avant J.-C. Dans la *Glossa Magna in Pentateuchum*, texte hébreu composé probablement en 210 par le rabbin Ushaia, on parle déjà d'un os appelé "Lus" ou "Luz"⁵ qui est censé conserver l'esprit du défunt ; d'après cette source, il ne pouvait "jamais être brûlé ou corrompu car il est d'origine céleste."⁶ Toutefois, en

comparant les écrits talmudistes avec les considérations des médecins du Moyen Âge et du XVI^e siècle, on constate une différence majeure: tandis que les premiers situaient cet os à la base du crâne, les autres l'identifiaient d'habitude avec l'os sésamoïde qui se trouve à la première jointure de l'orteil⁷ et dont la découverte (vers 180 avant J.-C.) est traditionnellement attribuée à Galien. De surcroît, comme le remarque Vésale à la fin du passage en question, cette croyance apparaît aussi dans d'autres cultures, notamment chez les Arabes qui l'appellent "l'os d'Albadaran"⁸ et dans le Bouddhisme sous le nom de *shariras*⁹.

Indépendamment des divergences concernant son emplacement exact, un trait caractéristique demeure constant: n'étant point sujette à la décomposition universelle des chairs ("nulli corruptioni obnoxium"), cette ossicule en forme de grain de pois, serait dotée d'une fonction cruciale, parce que grâce à elle les morts pourraient ressusciter en chair et en os à la fin du monde : "Id post mortem in terra reconditum, instar seminis, hominem extremi iudicij die producturum"¹⁰. La comparaison à la semence est tout à fait révélatrice: elle résonne non seulement des connotations bibliques évidentes mais aussi elle inscrit l'homme-microcosme dans les cycles éternels de la nature qui régissent le macrocosme. Cette tentative d'expliquer raisonnablement le mystère fondateur de la religion chrétienne - qui ne paraît pas particulièrement susceptible d'être expliqué logiquement - peut nous sembler impossible et condamnée à la contradiction, en constituant un exemple accompli de la *concordia discors* avant la lettre dont les conclusions seront forcément suspectes. Vu la difficulté de la tâche, il semble bien pertinent de demander : d'où vient cet acharnement à démontrer que l'homme ne disparaît pas totalement, et qu'une partie de lui va s'opposer aux lois universelles de la décomposition en donnant l'image de sa vie éternelle dans l'au-delà ? Le traité de Tertullien : *La Résurrection des morts* consacré à la querelle autour de la *resurrectio carnis* qui a divisé la communauté chrétienne des premiers siècles peut fournir une réponse assez convaincante à cette question. En effet, aussi bien les sceptiques que les mystiques condamnant la chair avaient du mal à croire que celle-ci "doit un jour se retrouver elle-même, dans son intégrité [...] en sorte qu'elle soit restituée par les feux et les eaux et le ventre des bêtes sauvages, les gosiers des oiseaux, les entrailles des poissons et par la gueule même du

¹ Deux éditions complètes en onze ans d'intervalle : édition bilingue latin-français d'Actes Sudes, Aix-en-Provence, 1990 et édition en fac-similé, parue dans la collection de Belles Lettres en 2001. L'année dernière celle-ci a publié aussi *L'Épître des sept livres de la fabrique du corps humain* qui clôt l'ouvrage de Vésale.

² Sur la place de l'œuvre de Vésale dans l'histoire des sciences anatomiques de la Renaissance cf. Rafael Mandressi, *Le regard de l'anatomiste. Dissections et invention du corps en Occident*, Seuil, Paris 2003.

³ Sur les enjeux symboliques et culturelles de ces représentations cf. Andrea Carlino, «Entre corps et âme, ou l'espace de l'art dans l'illustration anatomique» in *Histoire et Sciences Sociales*, 2001, 17, pp. 70-80 et l'analyse perspicace de Nadeije Laneyrie-Dagen, *L'invention du corps*, Flammarion, Paris 2006, pp. 198-204.

⁴ André Vésale, *Andrea Vesalii Bruxellensis... de Humani corporis fabrica libri septem*, Basileae, per J. Oporinum, 1555, p. 154.

⁵ Sous cette dénomination, il apparaîtra en France dans l'œuvre célèbre de Cornelius Agrippa : *De occulta philosophia* publiée en 1510.

⁶ A. Largey, B. Ely, F. Bonnel, «Les os sésamoïdes de l'hallux : du mythe à la fonction» in *Médecine et Chirurgie du pied*, 24, Springer 2008, p. 29.

⁷ Cf. Jacques Gélis, «Le corps, l'Église et le sacré» in *Histoire du corps. De la Renaissance aux Lumières*, Seuil, Paris 2005, p. 77.

⁸ Suivant les paroles du prophète Abu Hourayra, il faudrait l'assimiler au coccyx : la dernière des vertèbres de la colonne vertébrale.

⁹ A. Largey, B. Ely, F. Bonnel, *op. cit.*

¹⁰ André Vésale, *op. cit.*, p. 154.

temps.¹ La riposte de Tertullien est dans un premier temps bien catégorique ; pour lui, il est clair que, le moment venu, la toute-puissance de Dieu qui a sorti toute la création du néant sera capable de restaurer tous les corps, indépendamment de leur état. Toutefois il ne manque pas d'alléguer les arguments d'ordre naturel : "Il est évident que non seulement les os persistent, mais aussi que les dents demeurent sans se corrompre, et que tout cela est conservé comme les semences d'un corps qui repoussera lors de la résurrection."² Ce rapprochement des preuves des deux ordres différents (naturel et religieux) est le plus probablement à l'origine du concept de l'«os de la résurrection», grain mystérieux qui permettra à l'homme de renaître à la fin des temps, même si tout le reste de son corps sera englouti dans le néant. À l'occasion on peut constater à quel point la métaphore elle-même de la semence se révèle efficace et parlant à l'imagination des croyants. C'est en 1621 qu'elle trouve son expression la plus parfaite, dans le *Theatrum anatomicum* de Gaspard Bauhin : "Dans le corps de l'homme, il y a un certain os, lequel ne peut être corrompu ni par l'eau ni par le feu, ni par aucun autre élément, ni non plus être rompu ou brisé par aucune force extérieure ; au jour du dernier Jugement, Dieu arrosera cet os d'une rosée céleste, et alors tous les membres s'assembleront autour de lui, et se réuniront en un corps, qui étant animé de l'esprit de Dieu ressuscitera vivant."³ Par ailleurs, il faut être bien conscient que cette tradition ne disparaît pas du jour au lendemain et que, sous des formes diverses, elle persistera jusqu'au début XVIII^e siècle.

Quoi qu'il en soit, la conclusion de Vésale lui-même reste bien prudente et il serait difficile de déterminer avec toute certitude quelle est son opinion personnelle à propos du rôle spirituel de l'os sésamoïde. Malgré le contexte théologique qui est visiblement dominant dans cette partie du chapitre, il ne manque pas d'évoquer les observations purement scientifiques : l'os en question n'est pas aussi dur que les dents, et leur corruptibilité est à peu près pareille⁴. Finalement il se contente d'évoquer les interprétations possibles sans prendre aucun parti ce qui lui permet de contourner les objections éventuelles de la part de l'Église catholique (dans la perspective de Vésale, la fonction surnaturelle de l'ossicule est sanctionnée uniquement par les traditions de provenance "païenne"). Si on prend en considération la guerre que la papauté menait de longue date avec le

progrès des sciences anatomiques⁵, cette décision de rester à l'écart devient tout à fait compréhensible.

En dernière instance, nous croyons juste d'expliquer pourquoi nous nous sommes intéressé au sujet qui, au premier regard, semble relever de l'histoire de la médecine. En effet, le cas de l'os de la résurrection permet d'esquisser le statut problématique des sciences naturelles à la Renaissance, écartelées entre la volonté d'un savoir empirique, les tabous religieux et les croyances magiques véhiculées clandestinement à travers les siècles. Certes, pour l'homme post-moderne cette théorie n'est qu'une création d'esprit fort fantaisiste – encore une autre "histoire prodigieuse" parmi tant d'autres, produites par les siècles passés. Toutefois, elle prouve une fois de plus à quel point la culture du XVI^e siècle était riche et complexe : à cette époque-là, les hommes de science ne s'enfermaient pas dans une spécialisation étroite, comme c'est souvent le cas aujourd'hui, mais ils puisaient avidement dans toutes les sources du savoir auxquelles ils pouvaient accéder, sans se limiter aux réflexions marquées au coin du rationalisme pur et dur...

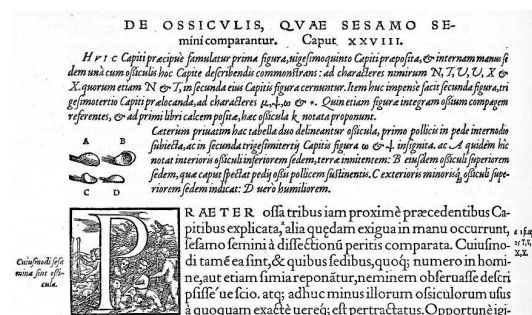


Figure 2
Os sésamoïdes - André Vésale, *De Humani corporis fabrica libri septem*, p. 152.

¹ Tertullien, *La Résurrection des morts*, IV, Desclée de Brouwer, 1980, p. 47.

² Tertullien, *op. cit.*, p. 107.

³ Cité d'après Jacques Gélis, *op. cit.*

⁴ "quamvis tamen dentibus duritia cedat, neque minus ipsi dentibus corruptioni obnoxium sit" André Vésale, *op. cit.*, p. 154.

⁵ Sur le déroulement incertain de cette controverse cf. A. Dickson White, *A History of Warfare of Science with Theology in Christendom*, Kessinger Publishing, 2004, t. II, pp. 31-55 et Rafael Mandressi, «Dissections et anatomie» in *Histoire du corps... op.cit.*, pp. 311-333.

Od średniowiecza do współczesności – o poezji francuskiej najkrócej jak się da, czyli zaproszenie na wieczorek poetycki.

Bez wątpienia, francuska tradycja literacka jest jedną z najważniejszych zarówno w historii literatury europejskiej, jak i światowej. Już w średniowieczu każdy rodzaj miał swoich znakomitych reprezentantów, a epika, liryka i dramaty przyczyniły się w istotny sposób do ukształtowania się i rozwoju języka i kultury.

Nieobce polskiemu odbiorcy są nazwiska takich poetów jak Villon, Baudelaire i Apollinaire. Należy jednak podkreślić, że w panteonie twórców widnieje znacznie więcej poetów godnych poznania i zapamiętania. Dlatego właśnie Śródmiejski Ośrodek Kultury we współpracy z Instytutem Francuskim w Krakowie oraz Instytutem Filologii Romańskiej UJ postanowił przybliżyć krakowskiej publiczności dzieje poezji francuskiej w formie panoramy od średniowiecza do współczesności, podczas wieczorku poezji francuskiej, który odbędzie się 30 marca o godz. 18 w Śródmiejskim Ośrodku Kultury, na ul. Mikołajskiej 2 i na który serdecznie zapraszamy wszystkich miłośników poezji, nie tylko francuskiej.

Podczas wieczorku zaprezentowane zostaną w oryginale oraz tłumaczeniu utwory kilkunastu pisarzy, których wstępnego wyboru dokonali Pani dr Ewa Andruszko oraz Pan dr hab. Waław Rapak, ostatecznego zaś grupa studentów III, IV i V roku.

Wśród poetów, których wiersze będą czytane, warto wymienić Louise Labé (*la Belle Cordière* - 1524-1566), jedną z nielicznych kobiet, których twórczość znacznie wzbogaciła dorobek literatury francuskiej, a których biografie mogłyby posłużyć scenarzystom i reżyserom do stworzenia wielu kinowych przebojów. Choć rodzice jej byli niepiśmienni, Louise Labé otrzymała staranną edukację obejmującą łacinę, włoski i muzykę. Po wyjściu za mąż za powroźnika Ennemonda Perrin, aktywnie włączyła się w działalność koła lyońskich poetów i humanistów, zgrupowanych wokół postaci Maurice'a Scève'a. Jej domniemany związek z poetą Olivierem de Magny był inspiracją dla stworzenia zbioru dwudziestu czterech oryginalnych sonetów, pozostających do dzisiaj jej najbardziej znanymi dziełami (a dowodem na to niech będzie fakt, że wzbudziły podziw m.in. u tak znamienitego twórcy, jakim jest niemiecki poeta Rainer Maria Rilke, który przetłumaczył je na język ojczysty). Ujmują one zarówno formą jak i treścią, a oryginalność ich wyrasta właśnie z niezwyklej umiejętności łączenia elementów tradycji Petrarki oraz neoplatonizmu z niezwykle bezpośrednim,

zwłaszcza jak na XVI w., jednak nie wulgarnym, erotyzmem.

Erę współczesną zapowiada twórca, o którym nie sposób nie wspomnieć, Gérard de Nerval (1808-1855), wpisujący się w nurt poetów przeklętych, za życia niedocenionych, będących aktywnymi członkami paryskiej cyganerii artystycznej. Wyprzedził on swoją epokę obrazami poetyckimi ewokującymi świat z pogranicza jawy i snów, które wywarły silny wpływ na XX-wieczny nurt surrealizmu. Jego dzieła stanowią również ważną część świadomości literackiej takich pisarzy, jak Marcel Proust czy René Daumal. W jego twórczości można też odnaleźć, oprócz inspiracji podróżami po krajach Wschodu, głównie zaś ezoteryką i alchemią oraz mitami tamtejszej kultury, pierwsze zwiastuny nadchodzącego symbolizmu, którego najważniejszymi przedstawicielami są Baudelaire, Verlaine, Rimbaud i Mallarmé.

Pośród poetów współczesnych znalazł się Robert Desnos (1900-1945), związany z kinem awangardowym oraz prądem surrealistycznym w sztuce, którego talent widoczny jest w świadomych, często zaskakujących zabawach formą i słowem, jednocześnie na planie semantycznym i fonetycznym, oraz Paul Eluard (1895-1952), utożsamiany z nurtem dadaizmu i surrealizmu, w którego wczesnych wierszach, takich jak prezentowana podczas spotkania *Amoureuse – Zakochana*, wyczuwa się to poczucie zawieszenia między egzaltacją pragnienia, iluzją, że miłość pozwala, aby czas zatrzymał się w niemal fizycznym doznaniu wieczności, a bólem rozstania, miłosnym cierpieniem i samotnością. Ważne miejsce zajęła także twórczość poety belgijskiego pochodzenia, Henri Michaux (1899-1984), znanego z oryginalnej osobowości oraz niepowtarzalnego halucynacyjnego stylu, któremu nieobce są także groteska, absurd i czarny humor – jak w czytany na wieczorku poezji fragmencie *Un Certain Plume – Niejaki Piórko*. Nie mogło w tym towarzystwie zabraknąć Jacquesa Préverta (1900-1977), którego poezja otworzyła się na język codzienny. To właśnie dzięki temu, a także dzięki grze słów (kalamburom, neologizmom, burleskowym rozwiązaniom, celowym lapsusom, tworzącym często efekt komiczny, bliski tonacji czarnego humoru), która nadaje tekstom podwójne znaczenie, budując zdumiewające obrazy, poezja Préverta zyskała tak dużą popularność na całym świecie. Dla twórcy tego poezja to język, który śpiewa, stąd też nie stroni on od zabawy dźwiękiem – aliteracji, rymów i zmiennych rytmów, które z pozoru wydawać się mogą banalne i proste, a w istocie użyte zostały świadomie, by spełnić niezwykle ważną rolę. Być może dlatego właśnie wiele jego tekstów, takich jak *Les feuilles mortes* czy *Alicante*, zaadaptowanych zostało na scenę muzyczną.

Wachlarz poezji czytanej w trakcie spotkania będzie oczywiście znacznie szerszy. Dzięki temu możliwe będzie zaobserwowanie zmian w języku, formie, tematyce – ale także w podejściu do poezji jako takiej w ciągu kilku stuleci. Naturalnie, nie jest możliwe ujęcie wszystkich zasłużonych postaci godnych zainteresowania polskiego odbiorcy, dlatego, aby przynajmniej częściowo o nich wspomnieć, przytaczamy wiersz kanadyjskiego poety, Gastona Miron, w tłumaczeniu Edwarda Stachury, który będzie również zamykał spotkanie z poezją francuską:

Jednym mnogim zdaniem

Wybaczcie mi, proszę, poeci, których złupiłem
– poeci wszystkich krajów, wszystkich epok –
nie miałem innych słów, innych zapisów
jak tylko wasze, ale w jakiś sposób, bracia,
prawdziwie wielki to dla was hołd
bo dzisiaj, tutaj, wśród ludzi
są pomiędzy nami słowa
i jest to ich własna
człowiecza nić przewodnia
dziękuję

Wieczór poezji francuskiej
30 marca 2009, godz. 18
Śródmiejski Ośrodek Kultury
Ul. Mikołajska 2

Rita Osińska
Filologia romańska, III rok

Małe przemyślenia

Z przyjemnością powiadamy o reaktywacji rubryki poświęconej publikacji twórczości studenckiej. Czytanie, komentowanie lub tłumaczenie tekstów literackich bywa dobrą inspiracją do pisania własnych utworów. Jeśli próbujecie swych sił w którymkolwiek z rodzajów i gatunków, to zapraszamy do podzielenia się z nami waszymi dokonaniem na literackiej niwie (pisanie do szuflady nie zawsze bywa najbardziej wskazanym sposobem ekspresji). Na dobry początek przedstawiamy trzy wiersze waszej koleżanki Rity Osińskiej wybrane z większej całości zatytułowanej *Małe przemyślenia*. Sami zobaczycie, że te małe przemyślenia osobiste są wspólne nam wszystkim, nie tylko w czasie walentynkowych rozmyślań i refleksji.

dr Ewa Andruszko

patrzę na Ciebie
jesteś taki jaki być powinieś
ani za bardzo ani za mało
ani zbyt ani dość
i mam nieodparte wrażenie że tak już musi być

tęsknię
mocno i wyraźnie
z małymi przerwami
rano i gdy się kładę
tęsknię zwyczajnie
tak jak kobieta za mężczyzną tęsknić może

to co unosi się w mojej głowie nie ma kształtu
to tylko brunatna masa jak ołowiane chmury tuż
przed burzą
i nie potrafię tych wszystkich myśli okiełznać
są jak płatki śniegu
spadają lekko
powoli tworzą zaspę
i wiem że za chwile stopnieją
rozplyną się jak malinowe lody na metalowym
patyku

w abstrakcyjnym śnie

całą noc ktoś tupał
tupał jak stado patyczaków
a rano jako rekompensatę poniesionych strat
moralnych zaproponował mi miskę gwoździ
przyjęłam ten banalny prezent przeklinając w duchu
brak stanowczości

Agnieszka Such
Filologia romańska

Krótkie formy – twórcze formy. Warsztaty pisarskie.

Poniższe teksty napisałam w ramach warsztatów pisarstwa powieściowego, *atelier d'écriture romanesque*, w których brałam udział, będąc na stypendium Socrates Erasmus na paryskiej Sorbonie (Paris IV). Zajęcia prowadziła Pani Dominique Barbéris, współpracująca z wydawnictwem Gallimard francuska powieściopisarka, również wykładowca Sorbony. Były to bardzo ciekawe i rozwijające zajęcia. Każdy tekst, jaki musieliśmy napisać, miał jakiś konkretny temat lub musiał być pisany jakimś szczególnym stylem. W ten sposób ćwiczyliśmy różne metody pisemnego wyrażania swoich pomysłów. I tak np. dokonywaliśmy pastiszu kilku pierwszych akapitów *W stronę Swanna* M. Prousta, tworzyliśmy historię na podstawie podanych 12 słów, opowiadaliśmy tę samą historię, wcielając się w innego bohatera danej powieści lub dokończaliśmy historię na podstawie podanego pierwszego zdania. Pisaliśmy w pierwszej i w trzeciej osobie, ćwiczyliśmy kreowanie bohaterów, pisanie dialogów i monologów wewnętrznych jak również własnych przemyśleń w formie minitraktatów filozoficznych.

Pani Barbéris każdego roku wybiera spośród prac wszystkich swoich studentów teksty, które są następnie publikowane przez wydawnictwo uczelniane. Teksty, które się tutaj znajdują zostały wybrane do tej właśnie publikacji. Pierwszy z nich, *Promenade dans les ballerines* to historia stworzona na podstawie podanych 12 słów, drugi, *Il sait*, jest dokończeniem historii na podstawie pierwszego podanego zdania, a trzeci, *Katharsis*, jest opowieścią o sobie samym na podstawie analizowanego na zajęciach monologu.

(mots à intégrer dans le texte)

Promenade dans les ballerines

Je suis allée là pour la première fois, mais je n'ai rien remarqué. Cet appartement où j'allais travailler avait l'air sympathique. Je suis entrée et j'ai commencé à regarder autour de moi.

J'adore visiter des maisons et imaginer comment vivent leurs habitants. Et ensuite ce que j'aurais fait à leur place. J'ai toujours pensé que c'était une vertu, maintenant je crois que c'est plutôt une vice. Cela m'empêche de faire quelque chose d'utile dans ma vie. Je perds trop de temps en plongeant dans les rêves et en vivant les situations en imagination. Tout le monde me dit que je suis une jeune révolutionnaire. Je manque d'humilité

envers la vie. Je n'arrive pas à l'accepter telle quelle est. Ce n'est que dans mon imagination où je peux influencer sur les événements.

Je n'hésite jamais à retourner à mes souvenirs si une situation, un parfum ou une chanson me provoque. J'ai cette infirmité de le faire spontanément et sans arrêt. Cela apporte seulement la douleur, le sentiment que la vie passe et que tout le monde sauf moi a déjà retrouvé sa place. Et moi, je gaspille le temps, en parcourant toute ma vie dans la tête. Pourtant, je ne pourrais pas vivre sans cela. Paradoxalement, c'est grâce aux souvenirs et aux rêves que je sors de la dépression qui me frappe régulièrement de temps en temps.

Je vois une cheminée, toute blanche et plutôt décorative. Ensuite, un grand canapé en cuir avec deux fauteuils. Il n'est pas spacieux cet appartement. Juste à côté, il y a une table ronde de bois, couverte d'une nappe froissée et quatre chaises. Et quatre couverts sur la table. Ils vont bientôt dîner en racontant ce qui s'est passé pendant la journée. C'est une vraie famille dont tout le monde rêve, et moi aussi. Mais je ne voudrais pas vivre comme eux. Je ne peux pas imaginer que je vis comme eux. Au moment où ils mangent je suis déjà dans le bus, heureuse de ne plus être là. Mais pas heureuse non plus que je suis libre et que je rentre chez moi. Ce n'est même pas chez moi. C'est juste l'endroit où je passe la nuit en rêvant de mon nid, un jour, quelque part et avec quelqu'un.

Pour moi, il manque des fleurs dans leur salon. Sans elles, tout devient fade, indifférent et lugubre, comme le printemps précoce. Personne n'aime regarder l'herbe terne après l'hiver. Donc, une fois j'ai apporté un bouquet de dalias rosâtres. Le docteur, mon patron, a beaucoup aimé mon idée. Il les a posées dans un vase contre le mur pour que le chat ne les fasse pas tomber par terre, car il adore placer son petit nez entre les fleurs. Le docteur l'avait trouvé à la campagne. Ce chat aime toucher les plantes car cela lui rappelle sa maison.

Chacun cherche son petit abri, d'une façon ou d'une autre.

Au deuxième étage habite une personne fantastique. Un jour quand je descendais l'escalier elle a ouvert la porte en me proposant du chocolat chaud. Elle voulait seulement partager son petit moment de tristesse avec quelqu'un. On s'est liées vite d'amitié. C'est une jeune institutrice. J'aime beaucoup la visiter. Son appartement sent les mandarines. Je célèbre toujours le moment d'entrer dans sa chambre. La première inspiration et je vois déjà Noël. N'importe où je suis, ce parfum signifie toujours la même chose. Parfois, je mange des mandarines juste pour garder sur mes doigts ce parfum d'une maison chaleureuse et du calme le plus longtemps possible.

Après quelques secondes, je ne sens plus rien.

Chaque fois que je sors de cet immeuble, je dois passer à côté de l'appartement près de l'entrée principale. Et chaque fois j'entends la musique de Chopin derrière cette porte. Moi aussi, j'aime beaucoup Chopin. Plusieurs fois je me suis arrêtée là pour écouter s'il allait peut être changer le compositeur. Pas du tout, même au contraire: quelquefois il mettait la même ballade ou valse qu'avant. Je ne sais même pas qui habite là. Une famille avec un jeune garçon qui veut devenir pianiste? Non, sûrement pas, c'est trop calme ici et je ne l'entends jamais s'entraîner. Bon, c'est peut-être un vieux couple? Ou une veuve? Un vieux célibataire? Je ne sais pas pourquoi je n'ai jamais de courage pour connaître les voisins. Pour moi, ce n'est pas juste une simple formalité. C'est horrible. Je préfère toujours qu'ils le fassent d'abord. C'est plus simple, plus agréable et plus naturel. Heureusement, un jour quand je vidais la boîte aux lettres, une dame qui habite au troisième étage descendait promener ses trois chats. Elle m'a dit que c'était un jeune garçon qui habitait là. Je me suis dit que c'était peut-être un musicien.

Mais un jour on n'entendait plus de Chopin. C'était tellement calme et silencieux que je croyais qu'il n'avait plus personne dans cet appartement. Mais, une semaine après, la musique résonnait tout au long de couloir. Ce fois-ci, c'était ABBA. Maintenant tout est clair. Un vrai artiste doit être fou. Par contre, il pourrait au moins baisser le volume, par complaisance pour les voisins non-mélomanes.

Dieu sait quel secret cache cet homme. Si c'est un peintre amaigri, un ténor aveugle, un contrebassiste avec un titre de noblesse ou une espèce d'Einstein, absorbé par son métier artisanal. En tout cas, je ne l'ai jamais entendu ni vu. Pourtant, j'aime bien écouter de temps en temps en passant ce qu'il est en train d'écouter. Chez moi les mêmes chansons et pièces de musique résonnent différemment. Chez moi j'en ai marre, je change tout de suite et je cherche quelque chose de plus intéressant qui correspondrait à mon humeur. Chez quelqu'un je m'adapte toute de suite et cela ne m'ennuie jamais. Dès que je rentre chez moi j'écoute la même chose. C'est ma manière de redécouvrir les choses oubliées.

(finir l'histoire)

Il sait

Un homme sans mains vint frapper à ma porte pour me vendre une photographie de ma maison.

C'était bizarre, cette rencontre. D'abord, j'entendis un coup très fort à la porte. Je n'avais aucune envie d'ouvrir à cet homme mais quelque chose en moi me força à le faire. Dès que j'ouvris la

porte, je le vis, un homme sans mains. Il frappait avec ses jambes. Il y avait en berger allemand qui lui accompagnait.

L'homme avait la cinquantaine. Son visage était pleine de calme et de douceur. Ses yeux révélaient un grand expérience de vie. Son chien avait l'air sympathique. Il portait un sac attaché à son dos. Dès que j'ouvris la porte, il commença à parler.

— Bonjour, je suis heureux de vous voir, dit-il.

— Bonjour monsieur, qu'est-ce que je peux faire pour vous? – demandai-je.

— Eh bien, je voudrais que vous trouviez un peu de temps pour plonger dans le passé.

— Pardon? – je ne pouvais pas croire mes oreilles.

— Je sais qu'il y a une chose dans votre vie qui vous fait toujours souffrir et je suis ici pour que vous en sortiez. Vous vous souvenez un peu de votre enfance?

— Bah...je ne comprends pas ce que vous faites là et comment vous m'avez trouvé mais...mais entrez, je vous en prie – proposai-je, car on se trouvait toujours à la porte.

— Et mon ami, vous l'invitez aussi, j'espère? – demanda-t-il sachant que je serais d'accord.

— Oui, bien sûr, installez-vous tous les deux.

Je ne savais pas encore ce qui allait se passer mais j'avais envie de voir comment cette conversation allait évoluer. Il y avait quelque chose d'extraordinaire dans cet homme, qui pouvait être considéré comme un pauvre handicapé malheureux, des millions de raisons de se plaindre. Cependant, sa façon de parler et le ton de sa voix, tranquille et positif, et surtout sa sérénité, malgré son état - pénible et dur au premier coup d'oeil – agit incroyablement sur moi. Je n'arrivais pas à lui résister.

— Je me permettrai de vous montrer une chose – annonça-t-il en donnant des signes à son chien. La bête s'est approchée de moi en me tendant son sac.

— Prenez son sac et ouvrez-le – continua-t-il— vous y trouverez une boîte en carton bleu ciel.

Je suivis ses conseils.

— Vous l'avez? Bien. Avant de l'ouvrir, je vous propose de laisser votre quotidien dehors. Oui, oui, oubliez-le, imaginez que vous jetez vos problèmes derrière la fenêtre dans la cuisine – ajouta-t-il en observant mon regard stupéfait. — Fermez les yeux et abandonnez tous ces tristes souvenirs.

Je fermai les yeux en essayant de suivre ses consignes. Je pensai d'abord au chef inhumain qui m'exploitait sans arrêt sachant que je n'allais pas partir. Et puis Julia, qui m'a fait tant de peine en me rejetant et mon ami Damien qui m'a trahi et dégradé aux yeux des autres...

Il me fallut un quart d'heures de réflexions pour atténuer cette douleur du rejet constant de ma personne et de l'incompréhension qui me faisait perdre confiance en moi. Mais je finis par me calmer un peu et de me débarrasser des mauvais

souvenirs. Par contre, j'ai gardé des moments heureux, même si fugitifs.

Je revins à ma mère, avant sa mort, même avant sa maladie. J'avais douze ans. Je ne me rappelais pas grande chose, sauf des sentiments chaleureux: bonheur, acceptation, insouciance...Oui, c'était là où je voulais toujours revenir en essayant de créer une maison pareille. Je n'avais jamais réussi.

— Vous allez bien? – demanda-t-il pour que je sortisse de la transe.

— Oui, je crois...oui, je vais bien – affirmai-je.

— Alors, ouvrez maintenant cette boîte, s'il vous plaît – proposa -t-il en souriant.

Je décollai donc un fil bleu pour voir le contenu. Il y avait une enveloppe vert pomme avec une fleur de pivoine rose pâle collée la-dessus. J'ouvris l'enveloppe et je sortis une photo qui était là. Je n'en crus pas mes yeux quand je la vis, maison de mon grand-père. C'était là où on habitait tous ensemble quand j'étais petit. Mon asile, mon refuge...Je sentis le chaud dans mon coeur. Je sentis du calme et l'amour de monde. Et tout de suite après, la tristesse. Je me rendis compte que je n'avais pas vu cette maison depuis mon départ, après la mort de ma mère. Pourquoi je ne gardai aucun souvenir? Pourquoi je ne la cherchai pas? Je levai ma tête et regardai les yeux de cet homme. Je voulut lui demander toute de suite comment il aurait pu savoir tout cela. J'ouvris la bouche mais il fut plus vite.

— Ce n'est pas le moment d'expliquer comment ni pourquoi. Pour toute chose il y a un temps – affirma-t-il en souriant.

— Mais...alors, qu'est-ce que je dois faire? Puis-je garder cette photo? Je vous paierai autant qu'il faut. L'homme souria.

— Justement, j'ai besoin de nourrir le chien. Et moi-même. Mais je ne suis pas venu ici pour demander l'argent.

— Et alors? Puis-je vous inviter à déjeuner? Acheter un journal? Payer le docteur? Enfin tout ce que vous voulez.

L'homme souria de nouveau.

— Non, mon fils. La photo est pour vous. Mais il est vrai qu'elle n'est pas tout à fait gratuite...Je vais rentrer chez moi et je veux que vous m'accompagniez. Vous allez voir de quoi je parle.

— Bien sûr. Mais laissez-moi vous poser une question maintenant. Une seule.

— D'accord.

— Etes-vous toujours autant heureux, souriant et calme? Comment faites-vous?

— Ecoute, mon fils. Avant l'accident, j'avais tout. Pourtant, j'ai été un homme le plus malheureux au monde - dit-il doucement en me voyant étonné. - Pour toute chose il y a un temps. Le bonheur et la souffrance aussi. Vous devez vous apprendre encore pas mal de choses sur la vie. Sachez qu'il

n'est jamais trop tard et donc ne vous découragez pas. Et maintenant venez.

Toujours sous le choc, je pris mon sac et nous sortîmes.

Katharsis

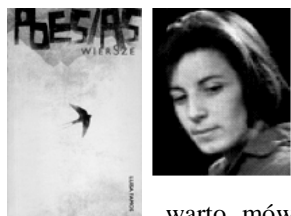
Je m'appelle Agnieszka. Je n'aime pas prononcer mon nom de famille. Cela me gêne que je ne suis presque jamais comprise. J'aime la neige. Je déteste la chaleur. Le printemps est ma saison préférée. J'adore quand la neige siffle sous les chaussures. Cela signifie qu'il gèle fortement. J'adore alors marcher un bon moment jusqu'à ce que mes joues rougissent et ensuite revenir à la maison pour boire une boisson chaude. Cela n'a absolument rien à voir avec un verre d'Ice Tea dans une chambre climatisée quand on meurt de chaleur. J'aime la liberté et je déteste être limitée par des règles strictes. Mais, paradoxalement, j'en ai besoin pour vivre. Si tout est simple et facile, je deviens trop paresseuse. J'ai du mal à faire quelque chose d'utile. C'est mieux quand il y a des difficultés. On a plus d'idées, on travaille, on fait des progrès... Mais peut-être que c'est notre caractéristique nationale. Les Polonais ont toujours un problème quand la porte est ouverte. Avec la porte fermée on savait toujours se débrouiller. J'aime réfléchir et imaginer des situations. Je déteste la vie plate, sans rêves. Je ne sais pas comment on peut fonctionner en tant que prisonniers de la réalité et ne même pas essayer d'échapper à cet espace. J'aime Amélie Nothomb. Je n'aime pas Flaubert. Travailler cinq ans sur un ouvrage, mon Dieu, pour moi c'est déjà raté. Passionné, on écrit sans pause. Pas lui. J'adore cette passion et cette tempête de sentiments que je retrouve dans chaque phrase d'Amélie. J'adore son volcan intérieur qui se transmet toujours à moi et qui fait que je lis ses livres toute ardente, impatiente, avec le coeur palpitant pour ce qui va se passer. Il faut être un génie et posséder une imagination extraordinaire pour avoir pu créer une oeuvre pareille, qui susciterait autant d'émotions chez quelqu'un comme moi. J'ai envie de rire quand je pense maintenant à la « pauvre » Emma Bovary. Quel titre misérable! Par rapport à la *Métaphysique des tubes*, *Hygiène de l'assassin*, *Acide sulfurique*...mon Dieu, j'ai déjà des frissons. Qui est-ce qui encore aurait bien pu vouloir exprimer quelque chose par ces mots? Elle est incroyable. J'aime bien aussi Victor Hugo. Je sens en lui une autre façon de transmettre la passion. Tout à fait réussie. Je pleure sur ses histoires. Mais, drôle d'histoire, Flaubert détestait Hugo... J'aime les montagnes. Je déteste la plage. Il n'y a rien de pire que de rester allongé sur le sable qui colle au corps. De plus, cela pue les poissons et les fruits de mer qui me donnent mal au coeur. J'ai horreur de cela. Je déteste perdre le temps d'une telle façon,

sur la plage. Je préfère d'autres manières. C'est pourquoi je vais toujours à la montagne. Fatiguée, soufflée, mouillée, sac à dos sur mon dos et heureuse d'avoir dépassé encore une limite intérieure en montant ce sommet, je regarde ces paysages fabuleux, larmes aux yeux. C'est le moment où on a envie de dire « Merci, Dieu ». Je déteste les ports. J'aime beaucoup les aéroports. Les émotions y sont toujours présentes. Il y a des hommes qui, tristes, se disent adieu, les autres, excités, arrivent chercher quelqu'un. L'aéroport devient un lieu magique quand je me précipite vers ma porte en passant à côté des autres. Chaque porte signifie l'autre destination, un autre petit bout du monde. Ces personnes, que je vois ici et maintenant, vont à tout à l'heure se diriger vers leur côté du monde, que je n'ai peut-être jamais visité, mais qui est leur maison. Porte 2, Pékin; je vois partout plein de Chinois. Porte 3, Addis Abeba. Les Noirs qui parlent leur langue incompréhensible. Enfin, près de ma porte, je retrouve mes compatriotes et on se sent déjà chez soi. Chaque porte, chaque nation crée son petit pays sur ce petit espace. Je trouve cela vraiment agréable, surtout quand on a passé un bon moment à l'étranger. Les uns vont dans quelques heures consommer du vrai sushi, les autres au même moment vont être effrayés et perdus dans ce monde des signes japonais incompréhensibles. Ou encore, quelques-uns, ayant pris des croissants frais pour le petit déjeuner, vont dans quelques heures parcourir les savanes parsemées de baobabs, pour finir par distribuer des cadeaux à la famille, qui les avait attendu dans une petite cabane, avec leur typique Kaey Wot et Nitir Kibe, qu'ils vont ensuite manger tous ensemble avec des doigts. Je ne m'ennuie jamais à l'aéroport. Je déteste prendre le métro. J'adore prendre le bus. Je n'ai pas de permis de conduire. J'adore voyager. On se voit rarement avec ma famille. Il y a 6 ans je détestais les changements quelconques, maintenant je ne peux pas vivre sans eux. J'ai besoin des déplacements. J'ai besoin de sentir de ne pas être chez moi, dans mon pays, pour l'apprécier. Tout cela n'est jamais facile pour moi mais j'ai déjà pris l'habitude. Sinon, après mon arrivée dans la maison familiale, je me désorganise complètement. J'ai déjà pris l'habitude de vivre entre les tristes adieux de mes parents et les salutations pleines de joie spontanée. Ils vont me manquer beaucoup. Toujours. Et puis ce sentiment bizarre qui n'apparaît qu'au moment où l'avion décolle et qui ne dure que quelques secondes: j'abandonne ma terre natale. LA MIENNE. Je pleure toujours à ce moment-là. Cette distance entre nous fait qu'on se dit où on s'écrit des choses qu'on n'est pas capables de dire quand on est ensemble. Car là, c'est le moment de jouir de sa présence. La distance fait que nos relations se renforcent. Je déteste le café qui commence à refroidir et la glace qui commence à fondre. J'aime

quand quelque chose est brûlant ou glacial. J'adore la valse et la rumba. Les deux sont très romantiques mais l'idée de la rumba est de séduire le partenaire, pendant que dans la valse ils sont déjà ensemble... J'adore me laisser guider par les forts bras d'un partenaire. J'oublie tout, les yeux fermés, et je m'envole au rythme de la musique dans les oreilles. Je n'aime pas le tango. La tonalité Ré majeur est ma préférée. Elle est comme le samedi matin ensoleillé de printemps. Elle éveille la joie de vivre par sa pureté de résonance. Mi bémol majeur, c'est trop aigu. La bémol majeur, encore plus aigu, à piquer même les oreilles, surtout au violon. Par contre, joué au piano avec de la sûreté et de la précision, cela retentit parfaitement. Fa majeur – trop fade. Sol majeur, amère, sèche et rugueuse. Do majeur – trop simple et ordinaire. La majeur et Mi majeur sont nues, vides, privées de quelque chose. Je n'aime pas les tonalités mineures. J'adore le bruissement des feuilles bougées par un fort coup de vent estival. J'ai envie de caresser les branches d'arbre et de les remercier pour cette musique magnifique. J'ai horreur du son fait par les chaussures qui claquent à la télé. C'est un bruit artificiel donc il n'apparaît que dans les films. Je deviens folle, j'ai mal aux oreilles, je change la chaîne ou baisse le volume, je me bouche les oreilles... Ce bruit me rend vraiment malade. J'adore quand le trottoir monte. Je n'aime pas l'escalier. J'ai peur des araignées. L'indifférence des autres m'attriste. J'ai peur du rejet de ce que je peux et je veux donner. J'admire les hommes humiliés et patients. Je voudrais l'être. J'aime la solitude. Je déteste la solitude. J'adore la musique. J'adore le silence.

Luiza Szpatowicz
Filologia romańska, V rok

Mało słów, wiele treści – kilka zdań o poezji Luisy Famos.



O twórczości poetki tej, jakże mało znanej nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie, nie licząc Szwajcarii, z której pochodzi, warto mówić z wielu powodów – przede wszystkim ze względu na wyjątkowość jej wierszy, ale także na ich język – język, którym niewiele osób się posługuje – retoromański, a dokładnie jeden z jego dialektów, walader (*Vallader*), co stało się główną przyczyną nieobecności pisarki w szerszym obiegu. Jednak dzięki uprzejmości Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „FRAZA”, które przysłało naszej redakcji zbiór *Poesias. Wiersze* w tłumaczeniu Jana Wolskiego, mamy szansę i niewątpliwą przyjemność poznać ją nieco bliżej, a dzięki znajdującemu się dwie strony dalej artykułowi Katarzyny Wójtowicz o dialektach retoromańskich, odświeżyć sobie nieco wiadomości o języku, w jakim tworzyła.

Luisa Famos urodziła się 7 sierpnia 1930 roku w malowniczym, ale i ubogim wtedy Ramosch (Remüs po retoromańsku). Po szkole zdobyła zawód nauczycielki, studiowała i pracowała w różnych miastach w kraju, przez rok studiowała również literaturę w Paryżu. Po wyjściu za Jürga Püntera, ze względu na zawód męża, kilkakrotnie się przeprowadzała, mieszkając m.in. w Hondurasie i Wenezueli. Niestety, w wyniku choroby nowotworowej zmarła w wieku 44 lat, 28 czerwca 1974, pozostawiając po sobie dwa niewielkie tomiki zawierające niecałe pięćdziesiąt wierszy, *Chwile (Mumaints)* i *Spotkania (Inscunters)*, oraz zbiór utworów zebranych pośmiertnie, niedokończonych, które czekały jeszcze na poprawki.

Dzieło Luisy Famos z pewnością jest dziełem bardzo zwartym tematycznie i strukturalnie, bo choć porusza wiele problemów, skupia się, najogólniej rzecz ujmując, wokół przemijania. Stąd też stale pojawiają się motywy pór roku, śmierci i narodzin/odrodzenia, nocy i dnia, ziemi i nieba, ciemności i światła. Podróż w głąb poznania, zbliżenia się do tajemnicy życia, istoty bytu, jaką oferują nam wiersze tej poetki, to jednak podróż wymagająca zarówno wiele cierpliwości, jak i skupienia, bowiem uważać trzeba na każde słowo, na jego ciężar i nieprzeniknioną symbolikę (jak na przykład wielokrotnie pojawiająca się *jaskółka*).

Nieuważnemu czytelnikowi łatwo umknąć może ta wielość myśli zawartych w krótkich, często liczących ledwie kilka wersów, utworach, ponieważ właśnie w precyzji języka, jego zwięzłości, pozornej prostocie tkwi moc tej poezji. Niezwykła umiejętność przetwarzania ogromu treści w minimalistyczne formy (nierzadko w pojedyncze słowa) to szczególna cecha sposobu odbioru świata oraz poetyckiego talentu Famos. Dzięki temu tak wyraźnie wyczuć można specyficzne napięcie, niepokój, nastrojowość misterium jej poetyckich obrazów, jak w wierszu *Gonda* – o miejscowości pełnej ruin domów zniszczonych przez lawinę:

Gonda

Wszyscy odeszli...

*Ale kiedy nadejdzie wiosna
I kiedy przyjdzie lato
I kiedy przyjdzie jesień
I kiedy przyjdzie zima
Przyjdzie nowe życie w ruiny*

*W kwiecie czeremchy
W słońcem rozgrzanych głazach
W żółtym listowiu brzoź
W śniegu i lodzie
Błądzą wasze duchy
Wkoło
Pełne tęsknoty...*

Wszyscy odeszli...

To jeden z wielu tekstów, w którym widać rozumienie życia i śmierci jako procesów zespolonych, nie wydarzeń punktowych, ale złożonych z wielu etapów, nierozłącznie ze sobą związanych i nieodzownie po sobie następujących. Narodziny zdają się początkiem śmierci, a umieranie źródłem życia – taka właśnie jest esencja natury, prawo wszelkich zmian, choć czasem gwałtowność niektórych przemian jest bardzo okrutna i zaskakuje nas, nie dając nam możliwości protestu:

Mała Indianka

*Carmencita ma siedem lat
I czerwoną wstążkę
W warkoczu*

*Kiedy przechodzę obok
Kryje się
Za chatą
I woła: ollà*

*Carmencita wybiega na ulicę
Kopalniana*

*Cieżarówka z rudą ołowiu
Nie zatrzymuje się*

*Mała Indianka
Z czerwoną wstążką
Obok twojej opalanej dłoni*

Podobnie należy rozumieć sens bólu i cierpienia, duchowego lub fizycznego – nie można od nich uciec, bo są one wpisane w życie człowieka, stanowią jego dopełnienie, mimo że czasem wydawać się mogą ponad nasze siły: *Zamykam więc / Serce / Zamykam w dłoniach / Żeby nie pękło / Głęboko/ Na dnię mojego cierpienia/ Byłam / Sama* (fragm. ****Idę*).

Ważne miejsce w twórczości Luisy Famos zajmuje tematyka religijna. Z jednej strony, w wielu utworach pojawiają się symbole religii, takie jak kościół, dzwony, wieża kościelna, cmentarz, jako elementy codzienności – to widzi, słyszy poetka każdego dnia, wypełniają one krajobraz jej świata, są bliskie i „oswojone”. Z drugiej strony, są wiersze o Bogu, o odczuwaniu własnej wiary jako człowiek w ogóle i jako pojedyncza istota. Również te teksty, niejednokrotnie zaskakujące specyficznym połączeniem tonu przypominającego biblijny z głosem raczej naiwnym, rozbijającym szczerym (jak wtedy, gdy autorka pisze: *Podnieście głowy / Drzwi i prastare bramy wieczności / Otwórzcie się w szerokości/ Aby król mógł wstąpić / W chwale./ Tak jest napisane. / Ale ja... Panie / Błagam o przebaczenie / Bo nie jestem gotowa / Aby Cię przyjąć*), stanowią dużą wartość w niewielkim, ale tylko rozmiarowo, dorobku poetki:

Wyznaję

*A gdybym była
Jedynym stworzeniem
Na tym świecie
Ześlij o Panie
Twojego syna
Aby mnie zbawił*

*Kto go osądza
Ja
Kto się go zapiera i męczy go
Ja
Gdzie jest żyd
Który splunie mu w twarz
Tu*

Kto jego kocha

*Także tym który kocha ciebie
Ja jestem.*

Gorąco polecając lekturę *Poesias*, chciałabym na zakończenie przedstawić jeden

z wierszy niedokończonych, należący do zbioru zebranego po śmierci Luisy Famos. Dla filologów będzie on interesujący nie tylko ze względu na jego treść, ale także na oryginalną wersję językową:

L'accord

*Eu Saint suns d'iin accors,
Cregns da vita
Dalöntsch da la mort.*

*Da vus inavriar
Less ma plaina dulur.
O fadima pro mai
Tü sublim accord.*

*Profuond At respiro –
Dandet et svantà
Meis immaint da tai
Gnit apaina strivlà.*

*Ma l'algor es plüferm
E quell cling'in etern.*

Dźwięk

*Słyszę dźwięki
Wyciekające z życia
Dalekie od śmierci.*

*Odurzyć wami
Chcę cały mój ból.
Bądź ukojony przeze mnie
Delikatny dźwięku.*

*Wdycham cię głęboko –
Nagle cię nie ma
Był mój przez ciebie
Nie tknięty prawie.*

*Wspomnienie jest silniejsze
I wieczniejsze.*

Katrzyna Wójtowicz
Filologia romańska, Vrok

Dialekty retoromańskie oraz *romanche*.

Dialekty retoromańskie to zespół regiolektów używanych w Szwajcarii i na Północy Włoch. W skład tych dialektów wchodzi friulański (dlatego retoromański czasem nazywany jest reto-friulańskim – friuli nie wyrósł na substracie retyckim) występujący w regionie Friuli, ladyński, używany w Dolomitach oraz *romanche* mówiony w szwajcarskiej Gryzonii.

Ten ostatni jest jednym z urzędowych języków Szwajcarii. Pierwsze teksty, które powstały w dialektach *romanche*, datują na XII wiek. Dialektów, gdyż tak naprawdę, *romanche* to zespół pięciu dialektów (sursilvan, sutsilvan, surmiran, putèr oraz vallader), dla których w 1980 stworzono wspólną normę, tzw. *rumantsch grischun*, używaną w oficjalnych dokumentach, w prasie itp. Norma powstała zresztą w sposób dosyć oryginalny – przeważnie, jak to było np. w przypadku francuskiego, jeden z dialektów, o największym prestiżu, staje się wersją oficjalną i reprezentatywną dla całego języka. W przypadku Szwajcarii lingwiści postanowili stworzyć język od podstaw, wyszukując formy, wyrażenia i słowa, wspólne dla jak największej ilości regiolektów. Unikano także wyrazów pochodzących z języka włoskiego – aby zachować jak największą niezależność. Obecnie język ten ma około 50000 lokutorów, niestety ich liczba się zmniejsza. Tłumaczone to jest kilkoma faktami: język ten nie ma centrum ekonomicznego na swoim terytorium, brak zewnętrznego wsparcia na polu rozwoju języka, zależność finansowa od niemieckojęzycznej części Szwajcarii, wpływ mediów posługujących się głównie niemieckim, zbytne rozdrobnienie dialektalne, mała obecność *romanche* w życiu codziennym oraz zbyt mała unifikacja języka. Można by rzec, że sytuacja jest równoległa do sytuacji innych europejskich języków mniejszościowych.

Romanche jest dosyć oryginalnym językiem, sprawia wrażenie mieszanki oksytańskiego i włoskiego – zarówno w słownictwie i w wymowie, jak i w formach gramatycznych. Słynie między innymi z jednej z najkrótszych form czasownikowych pochodzących z łaciny.

- *Ingio es teis hom?* (Gdzie jest twój mąż ?)
- *I.* (Wyszedł)

Forma żeńska to *ida*. Zaś cała konstrukcja przeszła, to: *El es i* – co przypomina francuskie *Il est parti*.

Na podstawie:

H. Walter, *L'aventure des langues en Occident*, Editions Robert Laffont, 1994, Paris
<http://projetbabel.org/forum/viewtopic.php?t=13055> (24.02.2008)
<http://fr.wikipedia.org/wiki/Rh%C3%A9to-roman> (24.02.2008)
http://www.tlfq.ulaval.ca/axl/monde/langues_rheto-romanes.htm (24.02.2008)
<http://www.liarumantscha.ch/85.0.html> (24.02.2008)
http://www.tlfq.ulaval.ca/axl/europe/suisse_Grisons.htm (24.02.2008)

Katrzyna Wójtowicz
Filologia romańska, Wrok

Język mniejszościowy – kilka obserwacji na temat stosunku do języka oksytańskiego wśród Francuzów.

Większość krajów na świecie jest wielojęzyczna. Trudno wymienić terytoria, na których absolutnie każdy mieszkaniec posługiwałby się tylko jednym językiem. Języki mniejszościowe są wszędzie. Mogą być trojakiemu typu: takie, które są sterytorializowane i tworzą swego rodzaju enklawy (vide: galicyjski w Hiszpanii czy kaszubski w Polsce); takie, które mniejszościowe są na danym terenie, ale na innym są oficjalne (niemiecki we Francji, arabski w Niemczech); oraz takie, które nie mają terytorium (język cygański).

Wiele osób, „dzięki” polityce językowej rządu francuskiego, przywykła myśleć, że Francja jest krajem jednojęzycznym. Pomijając kwestie ogromnej ilości imigrantów (z Afryki i krajów Bliskiego Wschodu, z Portugalii czy z Polski), i tak nie jest to prawdą. Przez długie stulecia, tylko niewielka liczba mieszkańców Francji znała oficjalny język (polecam lekturę ankiety opata Grégoire z okresu Rewolucji Francuskiej) – i były to osoby pochodzące z wyższych sfer i doskonale wykształcone. Przeciętny Francuz (bo mowa o XVIII i XIX wieku, kiedy państwo już istniało jako takie) znał tylko swój język, swoje *patois*. Na północy były to między innymi alzacki, bretoński, rozmaite dialekty *oïl*, mocno spokrewnione z francuskim, ale nim nie będące. Okolice Lyonu to franko-prowansalski. Centrum kraju to *croissant*, strefa przejściowa między *oïl* a *oc*. Południe to język oksytański, baskijski, kataloński, miejscami enklawy włoskie... W XX wieku sytuacja nieco się zmieniła, od lat 20 języki regionalne zaczęły tracić na popularności, a francuski był narzucany wszędzie – w urzędach, w szkołach, w kulturze. Spowodowało to silny regres w użyciu języków mniejszościowych. Regres – ale nie śmierć.

Jak wygląda sytuacja w chwili obecnej? Chciałam podzielić się kilkoma refleksjami na temat żywotności i świadomości istnienia oksytańskiego we Francji. Skupię się głównie na południu – obserwacje czyniłam w takich miastach jak Bordeaux, Nîmes, Narbonne, Montpellier czy Tuluz. Rozmawiałam także z osobami z okolic Clermont-Ferrand, wychowanymi jednak w domenie franko-prowansalskiej. Miałam też okazję usłyszeć, co myślą o oksytańskim ludzie z północy.

Ogólna świadomość językowa nie jest najlepsza. Dla mieszkańców północnych rejonów oraz dla tych, którzy nie urodzili się na południu, a tam mieszkają, termin *occitan* niewiele znaczy. Są osoby, które nigdy go nie słyszały. Dla wielu *occitan* równa się *provençal*, co jest oczywistym

błędem, jako że prowansalski jest jednym z dialektów oksytańskiego. Ku memu wielkiemu zdumieniu, raz usłyszałam, że na południu mówi się po... włosku! Fakt, że oksytański i włoski brzmią podobnie melodyjnie nie jest jednak usprawiedliwieniem dla takiej niewiedzy na temat swojego kraju. I to wśród ludzi wykształconych.

Południe jednak jest traktowane z góry. Przez bardzo długi czas było wyraźnie biedniejsze od północy. Przeciętnemu Francuzowi kojarzy się z wiejską sielanką, polami lawendy i lekkim zacofaniem. W reklamach i programach telewizyjnych bardzo łatwo napotkać stereotyp głupawego Prowansalczyka czy Gaskończyka, który mówi ze „śmiesznym akcentem” (nie będącym niczym innym, jak wynikiem substratu oksytańskiego). Generalnie kogoś, kto pochodzi z Południa i otwarcie to manifestuje, trudno jest traktować poważnie (vide kandydat na stanowiska prezydenta Bayrou, pochodzący z Béarnu).

Tutaj właśnie widać słabości francuskiej polityki językowej – nie dość, że wspieranie języków i kultur mniejszościowych jest mikroskopijne, to jeszcze brak jakiegokolwiek informacji na temat różnorodności francuskiej kultury i jej źródeł.

Nie chcę jednak tylko narzekać, gdyż wiele razy natknęłam się na ludzi, dla których *patois* nie było śmieszne wcale albo w małym stopniu i wynikało to nie z uprzedzeń, ale z zupełnie innych czynników.

Zacznijmy od drugiego przypadku – czyli kiedy język mniejszościowy kojarzy się źle i nie wynika to z niewiedzy i uprzedzeń. Dzieje się tak w sytuacji dyglosji – kiedy operuje się dwoma (lub więcej) językami, ale jeden z nich uważa się za gorszy i używa się go tylko w gronie przyjaciół. Dyglosja ma wiele przyczyn. Jedną z nich jest systematyczne, oficjalne zwalczanie małych języków. Ludziom przez lata było wpajane, że ich języki nie zapewnią im w życiu sukcesu, że są śmieszne, oznaczają brak wykształcenia, itd. I część lokutorów uwierzyła w to. Dlatego też starsze osoby, dla których oksytański był językiem ojczystym, niechętnie w nim się porozumiewają z obcymi. Nawet ludzie w średnim wieku z trudem wyznają, że znają ten język, zawsze przy tym zaznaczając, że „Tak mówią starzy”. Jednak w zamkniętych środowiskach, np. w małych sklepikach na wsiach czy na targach, język regionalny nadal jest w użyciu. Posługiwanie się nim w bliskim gronie w wielu osobach powoduje jednak nadal tak silne poczucie winy, że gdy tylko zjawia się ktoś obcy, natychmiast przechodzą na francuski.

Na szczęście, świadomość językowa powoli się zmienia – młodzież z chęcią uczy się oksytańskiego, żeby móc rozmawiać ze swymi dziadkami w ich języku. Niektórzy nawet przyznają, że to był ich pierwszy język, który

musieli zostawić, kiedy poszli do szkoły. Jeśli chodzi o edukację, to jest coraz lepiej – istnieje możliwość nauki w podstawówkach i gimnazjach dwujęzycznych (*calandretas*), jak również zdawania matury z oksytańskiego. Liczne uniwersytety promują ten język, umieszczając w swej ofercie studia w zakresie literatury i języka, a także lektoraty i możliwość zdawania oficjalnych egzaminów. Prężnie działają zespoły muzyczne (także młodzieżowe), tworzące w oc. Organizowane są różne wydarzenia, często o zabarwieniu politycznym, które zrzeszają młodych „bojowników”. Wielu z nich nie komunikuje na co dzień po oksytańsku (co jest dużym błędem, zważywszy na fakt, że to od rodziny zaczyna się edukacja), jednak czuje się mocny związek z ruchem zaangażowanym.

Wspomniałam już, że polityka państwa nie zachęca do utrzymywania przy życiu języków mniejszościowych. Jednak na południu można spotkać bardzo wiele nazw, które mają bądź to oksytańskie pochodzenie i brzmienie (Pessac, Porte de Calhau), bądź są wręcz przedstawiane jako oksytańskie – w Tuluzie, w centrum miasta wszystkie tabliczki ulic są dwujęzyczne, a w regionie Limoges nazwy miejscowości są pisane w obu językach. W jakiś sposób nie pozwala to zapomnieć o przeszłości i dziedzictwie kulturowym całego regionu.

Sytuacja nie jest całkiem tragiczna, mimo ambarasującego niedoinformowania ludności i niewystarczających środków na promocję języka. Problem leży też w mentalnościach. W sąsiadującej z Oksytanią Katalonii francuskiej o wiele wyraźniejsze jest przywiązanie do przeszłości. Z jednej strony są działania Katalonii jako takiej, ale z drugiej – mniejsza niechęć do swojego języka (mimo że dyglosja istnieje także tam). W Perpignan bardzo łatwo usłyszeć kataloński na ulicy – podobnie jak w Kraju Basków baskijski. W Oksytanii – w miastach nie ma to szans.

Miejmy nadzieję, że zapał młodzieży, działania naukowców i studentów na uniwersytetach oraz inicjatywy Instytutu Studiów Oksytańskich pozwolą Francuzom ujrzeć jaśniejszą stronę języków regionalnych.

Karolina Czarnecka
Filologia romańska, IV rok

Miniatury – małe Wielkie dzieła sztuki



Powszechnie wiadomo, że artyści od zarania dziejów parali się nie tylko sztuką monumentalną, operującą gigantycznymi masami i formami; lecz trudnili się także tworzeniem, ozdabianiem i wykańczaniem rzeczy obiektywnie małych. Tak i średniowieczne kodeksy, mimo iż w porównaniu z dzisiejszymi książkami wydają się często ogromne, historia sztuki przypisuje do form mniejszych.

Każdy widział chyba choć kilka reprodukcji iluminacji manuskryptów, owych miniatur. Wydawać by się mogło, że nazwa miniatura pochodzi od przymiotnika miniaturowy, czyli mały. Stanowi to jednak przykład błędnej etymologii; miniatura jest bowiem derywatem słowa minia, czyli nazwy czerwonego barwnika stosowanego już od starożytności i powszechnie używanego w malarstwie książkowym. Nazwa bliska jest więc słowu rubryka, pochodzącemu z łacińskiego *ruber*, czyli czerwony. Warto zaznaczyć, że określenie miniatura nie istniało w średniowieczu. Po raz pierwszy pojawia się we Francji pod koniec XVI wieku; sto lat później wciąż uznawane jest za neologizm. Wiele zamieszania sprawiło nadanie tej samej nazwy małym portretom, niezwykle modnym w XVII, XVIII i XIX wieku, malowanym zazwyczaj gwaszem na kości słoniowej (ciętej w poprzek, co dawało swoiste „plasterki” – małe okrągłe plakietki), porcelanie, emalii czy metalu, które pełniły funkcje dzisiejszych fotografii. Każdy odpowiednio majątny „miłośnik sztuki” mógł mieć przy sobie wizerunek ukochanej osoby nawet w najdalszej podróży.

Wróćmy jednak do malarstwa książkowego. Najpiękniejsze iluminacje powstały na pergaminie zwanym welinem, choć próbowano też malować na papierze czerpanym. W papier jednak farba wsiąkała, rozlewała się na nim, działał on jak gąbka, co z pewnością nie ułatwiało iluminatorom ich pracy. Szczęśliwie, już ok. IV w.n.e. pergamin, mimo że bardzo drogi, stał się

powszechnie znany. Wykonywano go ze skór, głównie kozich, ale także np. owczych lub cielęcych: najpierw świeże skóry czyszczone wapniem z sierści, następnie wyjaławiano z tłuszczu i bielono w wodzie wapiennej. Dalej napinano je na ramy, skrobano, myto, suszono, posypywano proszkiem kredowym by wypełnić pory i zapobiec rozlewaniu atramentu w czasie pisania. Ostatni etap to gładzenie pumeksem, które miało uczynić go równym i gładkim. Najlepszy jakościowo pergamin to welin, wytwarzany ze zwierzęcych płodów. Jest najcieńszy, najdelikatniejszy, najbardziej miękki i gładki, krótko mówiąc – najpiękniejszy. Oprócz tego, jak nietrudno się domyślić, był najdroższy: aby skopiować jeden tekst Biblii potrzeba było około dwustu skór jagnięcych; aby księgę tę spisać na welinie, należało kupić okazałe stado kotnych owiec lub kóz.



Dekoracja kodeksów była jednym z zadań średniowiecznych skrytoriów. Wytwórcy pergaminu i papieru dowozili najczęściej swoje wyroby do pracowni, ich zajęcie nie należało bowiem do najczystszych i najlepiej pachnących, stąd papiernie i pergaminatornie znajdowały się zwykle daleko od miejsc zamieszkania. Praca w skrytorium była podzielona. Najpierw skryba kopiował tekst, zawsze na oddzielnych, nie zszytych jeszcze arkuszach. Warto wyobrazić tu pozycję, w jakiej pracował: siedział na drewnianym stołku bez oparcia przy pulpicie nachylonym pod kątem 45 stopni i na tyle małym, by kopista nie mógł oprzeć na nim łokci, co rzekomo mogłoby spowodować zaśnięcie nad tekstem. Biorąc pod uwagę fakt, iż była to postawa wysoce niekomfortowa, kopistom należy się jeszcze większy podziw za zadziwiającą precyzję i piękno efektów ich pracy. Pisali inkaustem, czyli specjalnym atramentem złożonym z wody, sadzy, gumy arabskiej i wyciągu z galasówek (owadów powodujących charakterystyczne narośle na liściach dębu). Skryba przewidywał, w jakich miejscach namalowane zostaną dekoracje i błędym atramentem notował tam temat miniatury (niektóre takie zapiski pozostały do dziś). Następnie rękopisem zajmował się rubrykator, który uzupełniał manuskrypt o elementy barwne, głównie pisał litery czerwone. Do jego tuszu dodawano

szelaku, czyli substancji pozyskiwanej z owadów zwanych czerwiami. Dalej rękopisem zajmował się iluminator, który teoretycznie miał tylko „rozświetlać” (łac. illuminare) manuskrypty poprzez nanoszenie złotej folii. Używano w tym celu prawdziwego złota, 1 gram rozwałcowywano na 2 m²! Folię przyklejano na spolimeryzowany olej lniany – pokost, a poszczególne płatki złota przenoszono naelektryzowanym pędzlem ze świńskiej szczeciny. Był to jednak ostatni etap pracy iluminatora: najpierw malował on kontury, potem tło, dalej odcienie, twarze i dopiero wtedy наносił złoto. Na koniec, manuskryptem zajmował się introligator, który zszywał arkusze w składki, a te w całe tomy. Po opracowaniu, takie kodeksy oddawane były czasem do kowala, który dodawał do nich specjalne zapiecia.

Najstarsze iluminacje europejskie pochodzą z Irlandii i datuje się je na przełom VII i VIII wieku. *Księga z Kells*, *Ewangeliarz z Lindisfarne*, to tylko dwa przykłady bogato iluminowanych dzieł sztuki stworzonych przez celtyckich mnichów. Wpływy sztuki insularnej w ornamentacji kodeksów francuskich widoczne są w epoce merowińskiej; w czasach Karola Wielkiego (742-814) iluminatorstwo zmieniło się na skutek inspiracji bizantyjskich i wschodnich. Większą wagę zaczęto przypisywać nie dekoracjom, lecz dbałości o pismo; wtedy to powstała słynna minuskuła karolińska, zwana karoliną, czyli pierwsze kaligraficzne pismo małowieliterowe, proste, czytelne i regularne.

Najświetniejszy okres francuskiego malarstwa książkowego to gotyk. Ozdobne modlitewniki, stworzone w skrytorium Ludwika Świętego przy dworskiej kaplicy Sainte-Chapelle, stały się niedoścignionym wzorem w całej Europie. Złote legendy, godzinki, ewangeliarze i kalendarze, a także literatura rycerska, poezja i powieści – odpowiednio zasobni miłośnicy literatury mieli w czym wybierać. Wielkich iluminatorów znamy z imienia: Mistrz Honoré (XIII wiek) ilustrował *Dekretały Grzegorza IX*, malował charakterystyczne, witrażowe tło i ażurowe bordiury. Jean Pucelle, malarz i złotnik z XIV wieku, ozdabiał *Brewiarz z Belleville* i *Godzinki Jeanne d'Evreux*, w których to rozpowszechnił technikę malowania *en grisaille*, czyli monochromatycznie, używając różnych odcieni szarości, naśladując płaskorzeźbę. André Beauneveu ilustrował *Psalterz Księcia de Berry*, Jacquemart de Hesdin – *Bardzo Piękne Godzinki Księcia de Berry* (*Très Belles Heures du Duc de Berry*), a najśłynniejsi chyba iluminatorzy – bracia Pol, Jean i Hermann de Limbourg zajęli się zdobieniem jego *Bardzo Bogatych Godzinek*. Nie trzeba nikogo przekonywać o nieocenionej wartości i niewypowiedzianym pięknie tego rękopisu,

zawierającego m.in. dwanaście miniatur przedstawiających poszczególne miesiące. Wyjątkowo nasycone kolory, wysmukłe postacie, architektura i przyroda w tle: obrazy te na długo zapadają w pamięć.

Iluminatorzy, oprócz miniatur i powszechnych inicjałów, czyli ozdobnych liter rozpoczynających rozdział lub dzieło, malowali także bordiury na marginesach, których na jednej karcie było zwykle aż pięć (pisano bowiem najczęściej w dwóch kolumnach), a także winiety, rozdzielające poszczególne rozdziały i zdobiące wolne części karty. Wyróżniamy bordiury zwane floraturami – wici roślinne, drolerie – floratury, w których odgrywają się zabawne scenki; istnieją też, już nieco późniejsze, bordiury architektoniczne. Liczne ornamenty w malarstwie książkowym klasyfikuje się właściwie tak samo jak zdobnictwo w architekturze, można więc podziwiać ornamenty falowe, małżowinowe, okuciowe, rzemykowe, kartuszowe, plecionki, palmety i wiele innych.



Malarstwo książkowe nie zniknęło wraz z pojawieniem się druku. Warto zaznaczyć, że istota wynalazku Gutenberga nie zawiera się w rozpowszechnieniu powielania książek (powielano już poszczególne karty w drzeworycie), Gutenberg nie przyczynił się też wynalezieniem ruchomej czcionki – napisy z niej tworzone już dużo wcześniej, używając klocków drewnianych. Drzeworyt miał jednak wiele wad: drewno bardzo szybko się niszczyło a słoje uniemożliwiały wyżłobienie w klockach dokładnych kształtów. Zrewolucjonizowanie druku przez Gutenberga polegało na stworzeniu maszyny do odlewania czcionek, która pozwoliła na tworzenie czcionek metalowych – o wiele trwalszych od drewnianych; ponadto z jednej patrycy można było stworzyć właściwie nieskończoną ilość czcionek.

Prawdziwym nieporozumieniem jest twierdzenie, że wynalazek druku otwiera renesans i humanizm, że dzięki niemu odcięto się ostatecznie od czasów średniowiecza. Początkowo wszystkie książki drukowane zdobiono jak manuskrypty, litery miały naśladować pismo odręczne. Do pierwszego druku Gutenberga potrzeba było

niewiele ponad 60 znaków (24 litery małe, tyle samo wielkich, 10 cyfr i znaki interpunkcyjne), odlano ich jednak aż 293! Stworzono wszystkie możliwe ligatury i skróty używane przez kopistów. Książka drukowana uznawana była za mniej godną, gorszą od tej pisanej ręcznie. Oprócz tego, Gutenberg nie miał nic wspólnego z humanizmem włoskim, nie miał pojęcia o renesansie! Książki, które wyszły z jego drukarni to słynna Biblia 42-wierszowa, bulla papieska, Psalterz Moguncki, donaty i kalendarze – nie ma tu ani jednego podręcznika humanistycznego. Wszystkie te druki należą do typowego repertuaru średniowiecza, ich kształt i zdobienie imituje manuskrypty. Tym samym, wynalazek Gutenberga należy postrzegać nie jako początek renesansu, lecz raczej – ukoronowanie średniowiecza.

Wybrana bibliografia:

- Csapodi-Gardonyi K., *Iluminowane kodeksy europejskie*, Budapeszt 1984.
Gruchała J., *Iucunda familia, librorum. Humanisci renesansowi w świecie książki*, Kraków 2002.
Martin H.-J., Vezin J., *Mise en page et mise en texte du livre manuscrit*, b.m. 1990.
Pirożyński J., *Johannes Gutenberg i początki ery druku*, Warszawa 2002
Réau L., *Histoire de la peinture au Moyen-Age. La miniature*, Paris 1946.
Szwejkowska H., *Książka drukowana XV–XVIII w.*, Warszawa 1987.
I in.

Luiza Szpatowicz
Filologia romańska, V rok

Jest taki mały teatr...*Les Capricieuses*.

Grudzień 2006 roku. Najprawdopodobniej środa. Na pewno dzień, w którym Pani dr Ewa Andruszko miała dyżur. Katarzyna Wójtowicz, wtedy na III roku studiów, zapytała mnie, czy nie chciałabym grać z nią w grupie teatralnej Koła Naukowego. Był tylko jeden mały problem. Takiej grupy akurat nie było. Poszliśmy więc do Pani dr Andruszko, opiekuna Koła, i zaproponowaliśmy reaktywację teatru. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w gabinecie spotkałyśmy dwie nieznanym, ale energiczne studentki z roku wyżej, które były zainteresowane tym samym. Grupa powstała więc w ciągu kilku godzin.



Po miesiącu, w pięcioosobowym składzie rozpoczęliśmy próby do spektaklu *Louison*¹ na podstawie komedii A. de Musset, który to spektakl został wystawiony aż trzykrotnie: 19.04.2007 podczas Dni kultury francuskiej w Krakowie w *Café Molière* (gdzie zagrała z nami nawet jedna studentka filologii germańskiej, Beata Olszowska), 23.04.2007 na otwarciu XVI Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Francuskojęzycznych oraz 01.04.2008 podczas *Soirées polonaises* w Orleanie, zorganizowanych w Teatrze Gérard Philipe przez ADEP (*Association des Etudiants en Polonais*). *Louison* to zgrabna komedia oparta na motywach trójkąta małżeńskiego, który nie do końca jednak jest trójkątem. Otóż, główna bohaterka przybывая do domu żonatego księcia i jego matki nie jest jeszcze zdecydowana, jak postąpić wobec zalotów czarującego pana domu. Tymczasem, zupełnie niespodziewanie, pojawia się jej dawny znajomy..., zaś pani marszałkowa, widząc rodzący się romans i chcąc uchronić przed jego zgubnymi skutkami swoją piękną i niewinną synową, również wkracza do akcji! W sztuce tej Musset po raz kolejny zdołał w postaci subtelnej, aczkolwiek wyrazistej i oczywiście pełnego humoru studium psychologicznego uczuć i zachowań ludzkich przedstawić skomplikowane (nie tylko u kobiet, jak się okazuje!) mechanizmy kierujące naszą myślą i postępowaniem.

¹ Wystąpiły: Lucyna Biesaga, Karolina Czarnecka, Monika Gorczyca, Luiza Szpatowicz, Katarzyna Wójtowicz.

W wyborze sztuki pomogła nam Pani dr Andruszko, która od razu wskazała właśnie tego autora, gdy powiedziałyśmy, że szukamy komedii z repertuaru klasycznego (z Mussetem wiąże się również po części nazwa naszej grupy – *Les Capricieuses*). Nie ukrywam, że ważną rolę odgrywały kwestie techniczne: ilość osób, scenografia, itp. Z kostiumami na szczęście nie było trudno – zostały uszyte przez nas! Zaś fryzurami zgodnymi z modą panującą w czasach Ludwika XVI zjęła się nasza koleżanka z kulturoznawstwa – Jadwiga Armatys, prawdziwa profesjonalistka. Pomocną dłoń (a raczej uchem) służył nam również Pan Valéry Michau, który podczas prób czuwał nad naszą poprawną fonetycznie francuszczyzną oraz dzielił się uwagami na temat gry aktorskiej. Specjalne podziękowania należą się naszemu koledze, także z kulturoznawstwa, Marcinowi Dąbrowskiemu, który zadbał o nasz bezpieczny dojazd i sprawne poruszanie się po Orleanie w czasie naszego pobytu za granicą oraz zajął się wizualną dokumentacją przedstawienia.



Nasze kolejne osiągnięcie to udział w festiwalu *Francja w klatkach* w Lublinie, organizowanym przez Koło Naukowe RoManiacy UMCS 16 kwietnia 2008, podczas którego grupa lublińska *Les Chaises Volante* zagrała sztukę Rachel Bertolt, pt. *Ile jeszcze do świateł?*, a *Les Capricieuses* komedię Sachy Guitry *Une lettre bien tapée*². Jest to błyskotliwa komedia o zaskakującym zakończeniu, intrygująca widzów od pierwszych chwil pojawienia się na scenie dwójki bohaterów, Podróżnego i Sekretarki, którzy zdają się nie robić nic poza, odpowiednio, dyktowaniem i pisaniem na maszynie listu do przyjaciela. Choć jest to utwór o wyjątkowo niewielkich rozmiarach (zaledwie trzy strony), to z pewnością można wskazać w nim cechy gatunku tzw. pièce bien faite. To właśnie zwięzłość tej sztuki staje się jej ogromną zaletą. Dzięki niej dialogi, oparte na pełnych lekkości szybkich replikach, stanowią postawę akcji i to w nich

² Wystąpiły: Karolina Czarnecka, Luiza Szpatowicz. Reżyseria: Justyna Sukta.

przejawia się komizm i humor właściwy temu autorowi.



Dzięki nawiązaniu stałej współpracy z ADEP mamy kolejną szansę zaprezentowania się orleańskiej publiczności podczas *Soirées polonaises* w marcu 2009 roku. Tym razem jednak przygotowujemy sztukę polskiego autora, Janusza Głowackiego, *Antigone à New York*¹, w której wcielamy się w trójkę bezdomnych, mieszkających w nowojorskim parku: Portorykanka Anita, Rosjanin Sasza, Polak Pchełka. W współczesnym świecie, pełnym cynizmu i wrogości, usiłują oni walczyć, każde na swój sposób, o resztki ludzkiej godności.

Niektórzy zapytają zapewne, dlaczego na wydziale filologii romańskiej są aż dwie grupy teatralne - druga to *Les Volubiles* (której ogromny sukces z przedostatniego Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Francuskojęzycznych jest, mam nadzieję, powszechnie znany) Na pewno nie chodzi o konkurencję. Raczej o uzupełnienie zainteresowań. *Les Volubiles* skupiają się na teatrze nowoczesnym, dokonują adaptacji scenicznych tekstów poetyckich, podczas gdy my zajmujemy się teatrem w formie bardziej klasycznej.

Mamy nadzieję, że uda nam się kontynuować działalność sekcji teatralnej, mimo że dla niektórych z nas jest to ostatni rok studiów. Czekamy z niecierpliwością więc na kolejne osoby, które kochają teatr i chciałyby się przyłączyć do *Capricieuses*.

Olga Bartosiewicz
Filologia romańska, IV rok

Małe... formy literackie – opowiadanie Tudora Octaviana.



Tudor Octavian (ur. 12 grudnia 1939 r.) – rumuński dziennikarz i publicysta. Skończył studia filologiczne oraz architekturę. Publikował artykuły w czasopiśmie *Flacăra* oraz w dziennikach *România liberă* i *Național*. Obecnie prowadzi rubrykę *Scriitorul de la pagina 3* w dzienniku *Jurnalul Național*. Jest autorem wielu powieści, zbiorów opowiadań oraz monografii poświęconych sztuce. Jego ważniejsze dzieła to: *Povestiri diferite* (1968), *Noiembrie vitează* (powieść, 1975), *Banda lui Möbius* (powieść, 1978), *Sortiți iubirii* (powieść, 1988), *Tratat de injurătură* (pamflety, 1995, 1997), *Oameni normali* (szkice i opowiadania, 2000).

Tudor Octavian « Povestiri la cafeaua de dimineață »

(*Povestiri la cafeaua de dimineață* to zbiór opowiadań opublikowanych w *Jurnalul Național* w latach 2006 – 2007.)

Test na IQ

Ogłoszenie na szybie mówiło jasno: „Zatrudnimy dziewczyny o długich nogach, zachodnie wynagrodzenie.”

A mimo to, Wasyl B. wszedł do środka i zapytał portiera, gdzie zdaje się test na inteligencję do zagranicznej firmy. Logicznie rzecz biorąc, portier powinien był go odesłać i kazać mu jeszcze raz przeczytać ogłoszenie. Ale tego nie zrobił. Obrzucił tylko tenisówki Wasyla B. pełnym znużenia spojrzeniem eksperta, który wie, że doskonałość nie istnieje, kiwnął sceptycznie głową i wskazał ręką drogę w kierunku drzwi.

Przy nowoczesnym, designerskim stole, pracowało siedmiu mężczyzn. Jeden z nich poprosił Wasyla B. o zajęcie miejsca (na krzesła równie nowoczesnym jak stół) naprzeciwko komisji i dał mu do wypełnienia po angielsku kartę, na której widniały tylko dwie rubryki: „Jaką długość ma Amazonka?” i „Ile zarabia miesięcznie Andreea Esca?”² W pierwszej rubryce Wasyl B. wpisał 10 000 euro, a w drugiej 3,14 km i 127,5 m. Już po

¹ Występują: Luiza Szpatowicz, Katarzyna Wojtowicz, Karolina Wyderka, gościnnie: Clément Richart.

² Znana rumuńska prezenterka telewizyjna.

tym jak skończył, zdał sobie sprawę, że powinien był to wpisać na odwrot. Jednakże komisja była zadowolona i przeszła do właściwego testu, polegającego na dodawaniu i odejmowaniu talerzy i szklanek, jak na przykład: „Jeśli masz umyć 11 talerzy i stłukłeś dwa z nich, to ile talerzy ci zostanie?” Wasyl B. odjął 2 od 11 i odpowiedział prawidłowo: 9. Za tę odpowiedź komisja dała mu maksymalną liczbę punktów, mierząc kandydata od stóp do głów pełnym zainteresowaniem spojrzeniem. „Jakie studia pan skończył?”, zapytał po niemiecku, z wyraźną sympatią, przewodniczący komisji. „Uniwersyteckie, podyplomowe, specjalizacyjne i doktoranckie”, odpowiedział Wasyl B. Członkowie komisji spojrzeli po sobie z entuzjazmem i doszli do wniosku, iż kandydat mógłby właściwie już odejść. „Zatrudnimy pana na próbę”- powiedział przewodniczący zamyślnym głosem, co znaczyło iż podjął tę decyzję z pełną odpowiedzialnością- „Ale test doprowadzimy do końca, prawda?”

Wasyl B. odpowiedział, że nie ma nic przeciwko. „Jest pan osobą niezwykle inteligentną”- dodał jeszcze przewodniczący - „Nasza kompania czuje się zaszczycona, iż może pana zatrudnić. I to na stanowisku z zachodnim wynagrodzeniem! Każdy z członków komisji zada panu pisemnie jeszcze jedno, osobiste pytanie. Proszę odpowiedzieć pisemnie bądź na głos, w jakim tylko języku powszechnego użytku sobie pan życzy. To pański wybór. Nie jest to próba pogwałcenia pana intymności, jedynie kwestia rutyny. Jak pan już zapewne zauważył, nawet nie spojrzeliśmy na pana nogi. Długie czy krótkie, u nas ta kompetencja jest na pierwszym miejscu!”

Wasyła B. nic już nie dziwiło. Skończył sześćdziesiąt lat. Od ponad roku był bezrobotny, a cały trud związany z otrzymaniem posady wymagającej wysokich kwalifikacji wynikał z następujących warunków: musisz być dziewczyną i mieć długie nogi. Po raz pierwszy odkąd jak głupi szukał pracy, zdawał też test na inteligencję. I mimo tego, że dwa pytania zadane po włosku były przesadnie osobiste – członkowie komisji zauważyli, jak bardzo zmysłowe usta ma Wasyl B. i umówili się z nim w klubie gejowskim, to odpowiedział on po rumuńsku na oba, i to w ten sam sposób: „Spieprzaj, dziadu!”

Przewodniczący komisji uściśnął Wasylowi B. rękę i pogratulował doktoratu. „Będzie pan zmywał filiżanki, talerze i szklanki w bufecie naszej firmy przez dwanaście godzin dziennie. Będziemy panu płacić tylko za dwie, ale za to będzie to stawka zachodnia. W końcu musimy pomagać Rumunom w integracji, jakkolwiek dużo by nas to nie kosztowało.”

Przemek Dębowski
Filologia romańska, V rok
Filologia portugalska, IV rok

O wzajemnych relacjach ludzi niskich i wysokich – tłumaczenie dwóch opowiadań Tudora Octaviana.

Tudor Octavian (ur. 12 grudnia 1939 r.) – rumuński publicysta i dziennikarz. Debiutował w 1968 r. zbiorem opowiadań *Povestiri diferite*, a setki kolejnych wydawał sukcesywnie w podobnej formie (m.in. zbiory *Istoria unui obiect perfect*, 1981, *Povestiri*, 1999). Jest też autorem kilku powieści (m.in. *Noiembrie vitează*, 1975), szkiców, pamfletów (*Tratat de injurături*, 1990), drukowanych w rumuńskiej prasie codziennej artykułów (których wybór opublikowano w antologii *Proști, dar mulți*, 2003) oraz czterech traktatów o sztuce (m.in. *Pictori români uitați*, 2004).

Przetłumaczone opowiadania (*Marele puturos – Wielki bumelant* oraz *Frumoasa mare – Wielka piękność*) pochodzą ze zbioru *Povestiri foarte scurte. Întimplări interesante din viața lui Vasile B. Caiet cu subiecte* (Editura LiterNet, 2005 – wydanie elektroniczne dostępne na stronie <http://editura.liternet.ro/carte.php?carte=142>).

Wielki bumelant

Wraz z kolegami z biura przez osiem lat wypełnialiśmy – prócz swoich – obowiązki należące do pewnego wyniosłego, ociężałego wielkoluda, o którym każdy z nas sądził, że pozostali wiedzą więcej. Niektóre absurdalności zdają się mieć głęboko ukrytą rację bytu, jednak gdy poszukać ich przyczyn, okazuje się, iż nie mają żadnej.

Absurd w przypadku wielkiego bumelanta z biura polegał na tym, że nie ośmielaliśmy się go poprosić, by pracował. Psioczyliśmy tylko pod nosem i pod jego nieobecność nabijaliśmy się z jego olbrzymiego wzrostu, lecz kiedy dzieliliśmy się zadaniami i palącą stawała się konieczność zagonienia go do pracy, woleliśmy posłać go w diabły i wziąć na siebie również jego obowiązki, licząc przy tym, że cała ta sytuacja już długo nie potrwa. Ale trwała. I to nie tylko osiem lat, kiedy dostawał pobory nie robiąc kompletnie nic w tym samym biurze co ja, ale jeszcze kolejnych dwadzieścia, aż przeszedł na emeryturę, nie opublikowawszy ani jednego artykułu we wszystkich czasopismach, przez których redakcje się przewinął. Przyczyna była banalna: my byliśmy niscy, a on – tłusty, leniwy, wyniosły, wielki, brudny i zarośnięty.

Wyczytałem w gazecie, że jacyś psychologowie z Kalifornii zbadali grupę osób zajmujących się najmowaniem pracowników do różnego rodzaju przedsięwzięć, i odkryli, iż wysocy mężczyźni są wybierani o wiele częściej niż drobni, ponieważ niski wzrost kojarzy się z niespełnieniem, niekonsekwencją i powierzchownością. Ci sami naukowcy z Kalifornii swoim starym zwyczajem doszukiwania się głębokich prawd – raczej komplikujących sprawy niż cokolwiek wyjaśniających – ustalili, że w opinii wysokich ludzi wszystkie niskie osoby są chytre i nielojalne. Nie wiem, co wielki brudas myślał o mnie i o moich kolegach, z których żaden nie przekraczał metra siedemdziesiąt, ale przerażały mnie nie tyle jego gabaryty, co fakt, że śmierdział. Miałem wrażenie, iż – tak jak skunksy – wiedział, że chroni go ta okropnie woniejąca warstwa brudu na włosach i skórze. Jeden jedyny raz poproszono go w sposób wyraźny, aby napisał reportaż z wyjazdu w teren, a on tyle się tłumaczył, że jest chory, że ma problemy rodzinne i pilną przeprowadzkę na głowie, że jego żona jest w ciąży i nie poradzi sobie, jeśli w nocy nie będzie go w domu, aż w końcu popatrzyliśmy po sobie zmieszani i zniesmaczeni, z silnym poczuciem winy, i nigdy więcej nie odezwaliśmy się do niego ani słowem. Przychodził do pracy, siadał na krześle z ostentacyjnym westchnieniem utrudzonego cierpiętника u krańca swych sił i śmiertelnie poważny milczał, jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę, iż jego marzycielska zaduma warta jest więcej niż niezliczone artykuły, z którymi my, knypki o wzroście metr siedemdziesiąt, miotaliśmy się, aby zapełnić czasopismo.

Świat pełen jest takich pasożytów, których pozycja pasożyta wręcz chroni. Brak wyczucia często przeważa nad wrażliwością. A poza tym, co można mu było zrobić? Jak należało mówić do olbrzyma patrzącego na nas wszystkich z góry, obdarzonego naturalnym atutem w postaci brzuszyska, z którego nieprzerwanie dobiegały bulgoty i pochrząkiwania? Nieładnie tak zostawiać gnój na drodze, ale kto się podejmie, nie czując się pokonanym, cuchnących konsekwencji pracy z gnojem?

Wielka piękność

W pewnej pracowni projektowej, pełnej białych, rozwieszonych jak suszące się prześcieradła rysownic z drewna, pracuje siedmiu drobnych mężczyzn oraz ogłupiająco piękna, ale i ogłupiająco wysoka brunetka. Piękność mierzy jeden metr i dziewięćdziesiąt dwa centymetry. Stąd też chudzielcy, za sprawą dziwnego kompleksu porównywania się do innych, wydają się tym niżsi i tym bardziej bezsilni, choć cały dzień nie robią nic

poza jedzeniem i piciem, a i piękność sprawia wrażenie coraz to wyższej i bardziej władczej. Maria, bo tak się nazywa owa piękność, mieszka w mieście już jakieś trzy lata, odkąd zapisała się na kurs rysunku technicznego, niemniej wciąż nosi niechlujne wiejskie sukienki i swetry. Co dowodzi, że niezbyt zdaje sobie sprawę z obowiązków zawodowych pięknej kobiety. A może i owszem, lecz odkłada je na lepsze czasy, kiedy zaczną interesować ją mężczyźni. Tylko niech w jej pobliżu pojawią się wreszcie prawdziwi mężczyźni, a nie zbieranina konusów, i to do tego leniwych.

Maria to osoba pracowita. Przez osiem godzin kompletnie pochłonięta jest swoimi projektami.

I – zważywszy że nie nosi stanika, zaś sukienki, uszyte prawdopodobnie przez jej matkę, nie zawsze zakrywają to, co powinna zakrywać sukienka rysowniczkii o wzroście metr dziewięćdziesiąt dwa, która wije się po rysownicy z przykładnicą i ołówkiem w ręku niczym jaszczurka na słońcu – owo zjawisko przyciąga uwagę całego biura projektowego.

Jednak prawdziwy fenomen, którego nikt nigdy nie skomentuje, ponieważ nikt nawet nie przeczuwa jego rozmiarów, to poczucie własności, zrodzone błyskawicznie u wszystkich siedmiu samców z niedowagą w chwili, gdy wielka piękność po raz pierwszy przekroczyła próg pracowni i skierowała się w stronę rysownicy stojącej pośrodku pomieszczenia, przenosząc energicznym bujaniem swych dorodnych bioder i piersi zatęchłe warstwy powietrza woniejącego salami i serem. Nagle poczuli, że Maria do nich należy. Że sam Bóg chciał, by ich pracownia została obdarowana naturalnym dobrem do użytku zbiorowego.

Warto nadmienić, iż lilipuci, którzy dla równie okazałej rysowniczkii – jednak na miarę ich wzrostu – byłiby takimi samymi świniami jak wszyscy mężczyźni na świecie, zagadują do swojej Marii wyłącznie szarmancko i taktownie. Zanim powiedzą coś sprośnego, przepraszają; kiedy zaś zdarzy im się zastygnąć w bezruchu z zamglonym spojrzeniem skupionym na jej jędrnych pośladkach, snując erotyczne marzenia na temat owego krągłego pomnika wzniesionego w hołdzie kobiecości na samym środku rysownicy, pokrępieni wzdychają po chwili i, mimo braku poleceń, mówią chórem: „Cholera, robota czeka...”.

Czasami, gdy najdzie ich myśl, że pewnego pięknego dnia ich Maria stanie na ślubnym kobiercu, filigranowych samców ogarnia żal bliski rozpacz. Smuci ich nie tylko wizja pracowni, która bez wielkiej piękności stanie się czymś w rodzaju ponurego hangaru czy przytułku

dla kilku nieudaczników z dyplomem uniwersyteckim, co świadomość, że ta prosta wiejska dziewczyna mogłaby oddać rękę Bóg wie, jakiemu kurduplowi, takiemu jak oni. I byłoby to niesprawiedliwe.

Katarzyna Piekarcz
Filologia włoska, V rok

Niewielka strata ? Matilde Serao - *Cnota Checchiny* (fragment).



Matilde Serao – ur. 07.03.1856 w Patrasso , zm. 25.07.1927 w Neapolu, włoska pisarka i dziennikarka, założycielka i redaktorka m.in. dziennika *Il Giorno*. Autorka wielu opowiadań i nowel, wyróżniających się wnikliwością obserwacji oraz głębią spojrzenia, nawiązujących do tradycji naturalizmu. Jej styl charakteryzuje ogromna prostota stylu, którą czasem niektórzy określają jako językową ignorancję, zarzucając zbyt częste posługiwanie się językiem prowincji. W jej twórczości jednak pobrzmiewają także echa idealizmu jako wysublimowanego poczucia piękna i szlachetności, które może osiągnąć człowiek¹.

Luiza Szpatowicz

Przekład na podstawie *La virtu di Checchina*, Matilde Serao, Armando Editore, Roma 2002

I

Otworzyła Susanna, służąca. Nosiła wyblakłą popielatą sukienkę z wełny, zwiniętą na bokach, spod której wystawała wytarta ciemna bawełniana spódnica, fartuch z grubego materiału pokryty był tłustymi plamami. W ręce trzymała śmierdzącą ścierkę. Wchodząc, Isolina skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Jest Checchina? – zapytała.

- Jest – odpowiedziała Susanna, zaciskając swe wąskie usta świętoszki.

- A co robi?

- Czyścimy meble naftą.

- Czuć! Nie zaszkodzi wam ten smród?

- Zapach nafty nie szkodzi.

- Powiedz Checchinie, że przyszedłem i że muszę z nią natychmiast porozmawiać – powiedziała i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, całą wyperfumowaną *Jockey-club*, żeby zatkać sobie nią nos.

Susanna oddaliła się, wzruszając ramionami w geście lekceważenia. Isolina usadowiła się na sofie obitej żółtym kretonem w czerwone kwiaty, bardzo twardej, i rozkojarzona

¹ Opracowano na podstawie: http://www.encyclopedie-francaise.com/Matilde_Serao.html .

oglądała salon. Dookoła okrągłego stołu z białego marmuru stały cztery fotele, obite podobnym materiałem co sofa, ich oparcia przykrywały wykonane na szydełku kwadratowe narzutki ochraniające je przed zabrudzeniami. Na stole bez serwetki stała podstawa pod lampę z różowawej gutaperki i staromodna lampa naftowa bez klosza. Dalej: sześć krzeseł z czarnego drewna o tak wypłowiałym kolorze, że zdawały się wiecznie zakurzone, stolik przykryty płytą z popielatego marmuru, na którym znajdowało się sześć filiżanek z białej porcelany, dzbanek do kawy i cukierniczka; dwa pudełka na drażetki, puste i stare, jedno z jasnozielonego jedwabiu, drugie ze słomy; talerz ze sztucznymi owocami, także z marmuru, pomalowanymi w żywe kolory: figa, jabłko, brzoskwinia, gruszka i kilka czereśni; stolik do gry przykryty zielonym materiałem, który opadał nisko po bokach. Jedyne okno przesłonięte było haftowanymi zasłonkami, bardzo przezroczystymi i skąpymi, obszytymi kretonem. Naprzeciwko sofy leżał mały dywanik. To wszystko. Bardzo odczuwało się tam zimno tego żalсного jesienno poranka. Isolina zawięła się w czarny płaszcz, który tak ją wyszczuplał. Później rzuciła się z wielką wylewnością na szyję Checchiny, która stała naprzeciw niej spokojnie się uśmiechając.

- W końcu cię widzę, serce moje! Nie mogłam już bez ciebie wytrzymać dziecińno. Wydaje mi się, że nie widziałyśmy się tysiąc lat. Ach, to Frascati! Przynajmniej dobrze się bawiłaś?

- Tak – odparła Checchina bez mrugnięcia okiem.

- W rzeczy samej, jesteś piękniejsza, nabrałaś kolorów, szkoda, że wszystko to zmarnuje się przy tym durnym Toto, który niczego nie rozumie! A dłaczego masz tę grzywkę, której nikt już nie nosi?

- Ale.... Tak mi wygodniej, szybko się czesze. A Susanna nie umie czesać inaczej.

- Też coś! Kupuje się specjalne żelazko do kręcenia włosów, wkłada się zapalony węgielek do ogrzewacza i każdego ranka kręci się loki, takie jak moje. Potrzebna jest też siateczka na włosy, żeby podtrzymywała loki.

- Susanna nie umie tego wszystkiego – upierała się Checchina.

- Czemu jej nie odprawisz? Jest antypatyczna.

- Antypatyczna?

- Ech, ta służba! Wszyscy to wrogowie, których sama opłacasz! Widzisz, byłabym szczęśliwa, gdybym odprawiła Teresę, tę bezczelną złodziejkę i... Nie powiem więcej. Znika z domu na całe godziny. Ale co zrobię? Zna wszystkie moje sprawy, jest bardzo bystra, jej lojalność słono mnie kosztuje, ale mogę być jej pewna. Zrozum, nie mogę jej odprawić, bo co będzie, jeśli opowie wszystko mojemu mężowi? Wczoraj musiałam, na przykład, dać jej ten szlafroczek z czerwonej flanelki, choć nadawał się jeszcze do noszenia, ten,

który tak podobał się Rudolfowi! Och! Miłość to wielkie cierpienie!

- To wielkie cierpienie – wyszeptała odruchowo Checchina.

- Co ty wiesz o tym? Durna jesteś, zawsze ci to mówiłam. Zakochałaś się może we Frascati?

- Isolino!

- Nie obrażaj się, wszystko się może zdarzyć. Och! Ja jestem zakochana i to bardziej niż kiedykolwiek.

- W Rudolfie?

- Co tam Rudolf! To był głupiec, adwokacina, wyobraź sobie, jak mój mąż! Już lepszy Gigio. Ale ten to oficer kawalerii, kocham go ogromnie, jak jeszcze nigdy nie kochałam nikogo. Och, Checchino! Co to za namiętność! Umrę przez to.

Kiedy wymawiała te słowa, strumień krwi zabarwił jej ciemną twarz, oczy błyszczały i wydawało się, że jej czerwone i wilgotne usta były znów spragnione pocałunków. Checchina patrzyła na nią ze spokojną i poważną miną kobiety pozbawionej temperamentu, nie odczuwając żadnego drżenia w swoim pięknym ciele, którego nawet niezgrabna sukienka z czarnej wełny nie zdołała oszpecić.

- A Gigio? – zapytała po chwili z właściwym sobie rozsądkiem.

- Och! Gigio jest taki zazdrosny! Zabije mnie jeżeli dowie się, że kocham Giorgia.

- I nie boisz się?

- Pewnie, że się boję. Jeśli bym się nie bała, co byłoby ciekawego w kochaniu Giorgia? Narażanie się na śmierć dla ukochanego nie jest może najlepszym dowodem miłości? Gdybyś wiedziała, jakie kłopoty sprawia mi ta miłość! Nie mam w ogóle pieniędzy, a potrzebuje ich, rozumiesz, muszę dać coś Teresie, muszę zapłacić za powóz, rękawiczki, kwiaty. Pożyczysz mi dwadzieścia lirów?

- Jak mam ci pożyczyć? Przecież nie mam.

- Mój Boże, co ja teraz zrobię? Wiesz, jutro się spotykamy, koniecznie muszę iść. Muszę kupić welonik, który kosztuje pięć lirów i jest mi niezbędny, muszę kupić trykot za piętnaście lirów i żeby tam dojechać, trzeba wziąć powóz...

- Mogę ci dać sześć lirów, zaoszczędziłam je przy zakupach – wyszeptała Checchina.

- Sześć lirów... I co zrobię z sześcioma lirami?

- Mów ciszej, żeby cię Susanna nie usłyszała.

- Sześć lirów... Starczy. Daj mi je, dobrze je wykorzystam. Dziękuję, moja droga, jesteś dobra, dziecińno. Łączy nas niezwykła przyjaźń. Gdybym mogła ci kiedyś w czymś pomóc...

- Nie, nie – odparła Checchina, drząc lekko.

- Wszystko się może zdarzyć, nie jesteśmy z żelaza, serce moje. Żegnaj. Do zobaczenia. Idę, muszę wystać ten bilecik do Giorgia. Masz znaczek za solda?

- Przecież wiesz, że nie mam. Nie piszę nigdy.

- Założę się, że nie masz nawet papeterii?

- Toto ma, w gabinecie, z własnym nagłówkiem.

- Biedaczka! Jak ci współczuję! Miłość jest piękna, moja Checchino.

I wyszła, radosna, lekka, promieniując uśmiechem osoby, która nosi w sobie skarb słodczy. Checchina zamyśliła się na chwilę, po czym zawiązała sobie wokół talii, na czarnej sukience, fartuch z białego materiału i zaczęła wycierać szafę naftą, podczas gdy Susanna wycierała komodę.

II

Pewnego dnia, w piątek, doktor Toto Primicerio, wychodząc, powiedział żonie, która czyściła szczotką tył jego płaszcza:

- Wiesz, zaprosiłem na obiad markiza d' Aragona.

Checchina przerwała nagle szczotkowanie.

- Rozumiesz przecież – kontynuował mąż, nie odwracając się – był dla nas tak uprzejmy we Frascati, wypada odwdziżyć się tutaj, w Rzymie. Spotyka się ze wszystkimi arystokratycznymi rodzinami, jest na ty ze wszystkimi rzymskimi księżnymi, przyda mi się ta znajomość. Przyjdzie w niedzielę o siódmej, w porze naszej kolacji – oni jedzą obiad o tej godzinie. Tego dnia my też tak zrobimy.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że jego żona jest bardzo poważna i zbladła.

- Martwi cię ten obiad, moja Checco? Już wszystko jest omówione i nie da się tego odwołać...

- Markiz... tu u nas... markiz, który jada u wszystkich księżnych...

- I tu będzie zadowolony i bynajmniej nie umrze z głodu. Ustal wszystko z Susanną – stwierdził Toto z charakterystycznym rzymskim spokojem, wychodząc do szpitala Santo Spirito, aby nastawiać zwichnięte ramiona i leczyć ropiejące rany. Wyszedł, ale w domu pozostał po nim ślad, nieusuwalny odór fenolu.

Checchina nie ustalała nic z Susanną. Służąca była w kuchni i zbierała górną warstwę z rosółu skarżąc się na bezbożność pana, który jadł mięso w piątek, podczas gdy ona, Susanna, zadawała się kawałkiem smażonego dorsza. Checchina siedziała w pokoju, obok szerokiego i wysokiego łóża małżeńskiego, ze złożonymi rękami, cała pochłonięta myślami, nie zdając sobie sprawy z tego, że ciągle ma na sobie pantofle i chustkę na szyi. Markiz, który jada u księżnych, obejmuje je i jest z nimi na ty, u nich na obiedzie! Dlaczego w takim razie Toto go zaprosił? Jak mu to mogło wpaść do głowy? We Frascati markiz d' Aragona gościł u książąt di Altavilla, codziennie odbywał przejażdżki z księżną, towarzyszył jej podczas mszy, razem jeździli konno, ona w czarnym stroju, z czarnym welonem owiniętym dookoła męskiego kapelusza i różą w kolorze herbacianym w butonierce; on w kostiumie z oliwkowozielonego aksamitu, w czarnym jedwabnym krawacie, ze stalowymi ostrogami i czarnym biczykiem. Ona, Checchina, widziała, jak

przejeżdżali, dwa albo trzy razy, niczym zjawy. Markiz był pięknym młodzieńcem, wysokim, z kręconymi włosami i melancholijnym spojrzeniem. Pewnego dnia, skręcił sobie lekko kostkę przy zsiadaniu z konia i wezwano Toto Primicerio, aby wyleczył tę dolegliwość. Od tej pory, za każdym razem kiedy markiz spotykał Checchinę Primicerio, kłaniał się jej nisko, jak robią to arystokraci, a co bardzo schlebia mieszczankom. Pozdrowił ją tak trzy razy: pewnej niedzieli, na placu, gdzie pomiędzy kościołem a kawiarnią grała orkiestra, a damulki przechadzały się z głową i plecami przykrytymi białym szalem; w środę po południu, kiedy na balkonie doszywała mankiety do starej koszuli męża i markiz d' Aragona pozdrowił ją, przechodząc ulicą; w poniedziałek rano, gdy udała się z Susanną do odległego zaułku Frascati, aby kupić od pewnego rolnika kilka koszy pomidorów, z których mogłaby zrobić przetwory na zimę. Tym razem jednak zarumieniła się, pamiętała to dobrze, ale nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że Susanna klóciła się głośno ze sprzedawcą o cenę. Teraz markiz miał przyjść na obiad, a ona nie wiedziała, co podać temu arystokracie przyzwyczajonemu do kunsztu znakomitych kucharzy. Zastawa, kupiona na wyprzedazy u Stelli, wystarczała tylko dla sześciu osób, brakowało sosjerki i salaterki. Czy to wystarczy? I sałatka, po co podawać sałatkę do obiadu, gdzie ona ją postawi? Można podać kluski w sosie mięsny, kluski ugotuje ona, Checchina, a sos zrobi Susanna, dobrze jej wychodzi. Potem podałyby mięso przystrojone pociętymi ziemniakami w sosie, następnie smażoną rybę. Ale jak ją usmażyć, skoro Susanna zawsze narzekała, że patelnia jest wypukła w środku i olej spływał na boki, a ryba w środku spalała się na węgiel? Trzeba kupić nową patelnię albo zrezygnować ze smażenia. Srebrnych sztućców było sześć, ale jeden widelec miał dwa krzywe zęby; szybko, szybko, do kuchni, Susanna musi je umyć, tak samo talerze. I pieczeń, przydałaby się pieczeń! Czy arystokracja jada kurczaka? Ale jak go upiecze, jeśli miała dwa piecyki, a brakowało różna? Ten obiad będzie sporo kosztował, jak to powiedzieć Toto? Tyle rzeczy brakowało w domu! Markiz z tą swoją poważną miną wielkiego pana, markiz, który nosił na palcu pierścień z brylantem, szafirem i rubinem, Checchina dobrze mu się przyjrzała. Markiz, w którym z pewnością kochają się księżne... Wypadałoby podać mu też deser. Jakie desery nauczyła się robić kiedy była panienką? Tort z konfiturami z wiśni? Ile jajek było do tego potrzebnych na kilogram mąki, pół kilo cukru i pół funta masła? A piec? Mogłaby upiec na dole, u dozorczyńni, ona miała piec. Trzeba by poprosić ją o tę przysługę, tę przekorną Maddalenę, która zawsze klóciła się z Susanną o spowiedź, bo Maddalena była prawdziwą heretyczką, potem, następnego dnia, wypadałoby posłać jej kawałek

tortu do spróbowania, żeby podziękować za uprzejmość.

A kawę podaje się przy stole, kiedy już się uprzątnie naczynia, czyż nie? Susanna przyrządzała ją rano nad ogniem, odgrzewając porcję z dnia poprzedniego z odrobiną świeżej, ale ci arystokraci, z tą swoją żywą i radosną miną, na pewno piją kawę z ekspresu, zawsze świeżą, trzy lub cztery łyżeczki na filiżankę, bez ponownego odgrzewania. Akurat tydzień temu Bianchelli wyłożyła na wystawie ekspresy, wszystkie tak świecące, że zdawały się być ze złota i srebra. Przydałby się jeden, Susanna musiałaby nauczyć się go używać w dwa dni. Trzeba by wydać pięćdziesiąt lirów na ten obiad. Toto nigdy tyle nie da. Dawał trzy liry dziennie na zakupy, ale mieli w domu wino i od czasu do czasu dostawali jakiś prezent od pacjenta, kosz serów, wędliny czy koszyczek owoców. Toto narzekał, dając nawet te trzy liry, a Susanna przysięgała na świętą Urszulę, patronkę wszystkich dziewic, że to nie starczy, nie starczy, że wszyscy rzeźnicy to psy, a sprzedawcy owoców to uliczni złodzieje. Jak mogłaby poprosić Toto o te wszystkie pieniądze na obiad dla markiza? Jeszcze pożyczyła z trudem uzbierane sześć lirów tej nieszczęsnej Isolinie – mając sześć lirów można by jeszcze coś wymyślić... – i zarumieniła się na tę myśl.

Wstała, poszła do kuchni i zaczęła przypatrywać się z roztargnieniem Susannie, która kroїła skrupulatnie pasternak, żeby wrzucić go do zupy. Nie mówiła nic, cała pochłonięta tym zajęciem. Dwa albo trzy razy służąca poskarżyła się na sprzedawcę węgla, który nie miał wstydu przed Bogiem, bo sprzedawał namoknięty węgiel, żeby więcej ważył, a pani jej nie skarciła. W pewnym momencie, Checchina, jakby właśnie się obudziła, powiedziała:

- Umiałabyś zrobić, Susanno, loczki na grzywece?
- Jakie loczki? – zapytała zaskoczona służąca.
- Takie jak ma Isolina – wyszeptła cichutko pani.

III

Kiedy przybył markiz d'Aragona, za dziesięć siódma, zgodnie ze zwyczajem, Checchina ubierała się jeszcze w swoim pokoju. Miała zaczerwioną twarz, dwie ogniste plamy na policzkach - unosząca się z pieca para sprawiła, że krew napłynęła jej do twarzy. Była śmiertelnie zmęczona, sama musiała wszystko zrobić, ponieważ Susanna wykręcała się co chwilę ze złością, zdenerwowana tym obiadem. Nie mogła iść rano na mszę do Sant'Andrea di Frotte, a zawsze, gdy nie mogła wysłuchać mszy, była nieznośna. Checchina miała zamęt w głowie z powodu gorąca, ze zmęczenia i dręczącej myśli, że wszystko pójdzie źle, a oczy błyszczały jej jak w gorączce. Cztery razy umyła ręce z obawy, że ciągle czuć od nich rybą i wachała je, nie zdając sobie z tego sprawy, niczym lunatyczka. Gdy pojawiła się

w salonie markiz powiedział jej komplement na temat dobrze wyglądającej cery i Toto Primicerio nie posiadał się z dumy. Markiz miał na sobie zapięty płaszcz, biały jedwabny krawat z brylantową spinką; gdy ściągał wolno rękawiczki, ukazały się białe i miękkie dłonie, prawie jak u kobiety. Kiedy Checchina stała tam zakłopotana w swojej nowej wełnianej sukience w kolorze zgniłej zieleni, z koronkowymi marszczeniami na szyi, które drażniły jej kark, zastanawiała się, zrozpaczona, czy może lepiej byłoby podać mu rosół zamiast klusek. Toto Primicerio ciągle mówił, zapewniał, że to tylko drobny obiadek w skromnym domu, który nie ma nic wspólnego z książęcymi bankietami; markiz uśmiechał się wdzięcznie i nie odpowiadał. Kiedy Susanna szorstkim głosem oznajmiła, że kluski są już na stole, markiz uklonił się i podał ramię gospodyni. Checchina poczuła subtelny zapach, który unosił się z jego włosów, albo też z chusteczki, delikatny i słodki. Wydawało jej się, że czuje go na ustach, niczym smak cukierka. Prawdę mówiąc, na początku obiadu bardzo się martwiła, gdyż wszystko szło nie tak. Susanna zerknęła na markiza z nieufnością i niechętnie podawała do stołu. Talerze i widelce docierały z kuchni z wielkim opóźnieniem, a Checchina milczała, nie odważyła się jej zawołać i wpatrywała się bezustannie w serwetkę, cała zażenowana. Toto Primicerio ucieleśniał rubaszną radość świętującego lekarza, co jakiś czas pozwalając sobie na żarcik, przemawiał poufale do markiza, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi, opowiadał mu o mnóstwie odciętych nóg, ponownie ułożonych i zaszytych w brzuchu wnętrznościach, otwartych tętnicach szyjnych i ropowicach wydymających ramiona niczym piłki. Lampa dogasała i dawała coraz słabsze światło. W pewnym momencie mąż rzekł:

- Mój drogi markizie, te kluski i tort, którego skosztujecie pod koniec obiadu to dzieło mojej Checchiny, która ma złote ręce.

Markiz uraczył ją wyrafinowanym komplementem. W rzeczy samej, markiz był bardzo dystyngowany. Wydawało się, że nawet nie spostrzegł żadnego z licznych uchybień, nigdy nie patrzył na Susannę, jak gdyby nie istniała, dwukrotnie nałożył sobie kawałek smażonej ryby i wypowiadał się z wielką swobodą. Mówił przyciszonym głosem, z bardzo miękkim „r”, prawie aspirowanym i z dziecięcą słodką „s”. Jego głos miał miękką intonację, prawie piśczętliwą i zdawało się, że nawet w najprostszych słowach wibrowały ciepłe podmuchy, urzekające powiewy czułości. Mówiąc, spoglądał w oczy swojemu rozmówcy, z poważnym, zamyślnym wyrazem oczu, podczas gdy delikatny uśmiech pojawiał się pod łukiem blond wąsów, a miękka dłoń igrała z nożem. Checchina otrząsnęła się z koszmarnego stanu. Nabierała odwagi, widząc wielkopańską

dezynwolturę, z jaką markiz d' Aragona udawał, że niczego nie widzi. Czerwone wino robiło się różowawe, a marszczenie sukni, które drażniło ją w kark, bardziej łaskotało ją teraz w całkiem przyjemny sposób, niż przeszkadzało. Co jakiś czas, gdy spoglądał na nią markiz, opuszczała oczy, jak gdyby światło w pokoju było zbyt intensywne. Ale i ona uśmiechała się, milcząc przytakiwała słowom, które wypowiadał. Odnosząc się do tortu, który był być może trochę zbyt wypieczony i przypalony na brzegach, markiz powiedział coś bardzo wykwintnego o słodczy gospodyni. Checchina nie rozumiała dobrze sensu jego słów, ale jego głos pieścił ją niczym muzyka. Markiz nie chciał kawy, która była pewnie i tak była ohydna, a ona była mu za to wdzięczna w głębi serca – nie starczyło jej pieniędzy, żeby kupić ekspres. Natomiast Toto Primicerio zaproponował otworzenie butelki *vieux cognac*, którą otrzymał od pacjenta z Francji. Markiz wznosił więc kieliszek i wygłosił toast na cześć pani Primicerio, która z wdzięczności wypita jednym haustem kieliszek koniaku - alkoholu, którego nigdy nie piła. W salonie cała trójka milczała przez chwilę. Czuło się zimno w tym ubogim w meble pokoiku, bez dywanu, z mizernymi zasłonkami. Tak jakby można było ogrzać go za pomocą światła. Checchina kazała przynieść jeszcze jedną lampę, jaką mieli w domu, ale brakowało jej klosza i oślepiła, gdy się na nią spoglądało. Checchina siedziała wyprostowana na sofie, po raz pierwszy spostrzegła nędzę jaka panowała w pokoiku i bardzo z tego powodu cierpiała. Docierał do niej harmonijny głos markiza d' Aragona, który opowiadał jej o nieudanym pobycie w Szkocji, gdzie jego kuzyni Altavilla mieli zamek. Było tam bardzo zimno, natomiast ona trzęsła się tutaj, lzy napływały jej do oczu. Toto Primicerio dał się zwyciężyć nieodpartej senności, charakterystycznej dla ludzi otyłych, którzy dużo zjedli i wypili. Checchina nieśmiało zerknęła na męża, prawie błagając go, żeby nie zasypiał – Toto, jak wszyscy grubi mężczyźni, chrapał. Toto nie rozumiał i wyciągnięty na fotelu co chwilę przymykał oczy, a głowa opadała mu na tors. W końcu spojrzenie Checchiny go obudziło, niczym wstrząs elektryczny – podniósł się, podszedł do okna, wyjrzał na ulicę dla odzyskania animuszu, potem, nie odwracając się, nagle wyszedł z pokoju. Po posiłku odczuwał potrzebę przespania się choćby przez godzinę.

Markiz di Aragona udał, że nie zauważył wyjścia małżonka. Wyciągnięty na fotelu, z nogą założoną na nodze, pokazywał swą arystokratyczną stopę, ubraną w pończochę z czerwonego jedwabiu i obutą w lakierki; jedna dłoń skręcała i nawijała jasne wąsy, druga spoczywała na poręczy sofy, na której siedziała Checchina. Było jej teraz łatwiej oddychać, ponieważ jej mąż spał rozłożony na łożu małżeńskim. Odważyła się wnieść na markiza swoje wielkie rzymskie oczy, może niezbyt

ekspresyjne, ale głębokie. Znow poczuła delikatny zapach fiołków, który kołował jej nerwy. Markiz d' Aragona obniżył jeszcze bardziej ton głosu – opowiadał jej teraz o swoim domu, mieszkaniu kawalera, w którym spędzał długie samotne godziny.

- Dlaczego się pan nie ożeni? – zapytała naiwnie Checchina.

Po chwili pożałowała zbyt swobodnego spoufalenia się. Markiz nie odpowiedział, panowała cisza.

- Dom stoi samotnie – wyszeptał, spoglądając znowu na Checchinę – przy tej melancholijnej ulicy dei Santi Apostoli. Zna ją pani? Tak... Nie pałac Balduccio Odescalchiego, księcia Odescalchi, mojego przyjaciela – nie, ten obok, za łukiem. Mieszkam na pierwszym piętrze – dwadzieścia cztery schodki. Nie znoszę wysokich schodów, mam słabe serce. W mojej rodzinie wada serca jest dziedziczna, umieramy przez to bardzo młodo. Ale cóż z tego? Życie powinno być krótkie i ciekawe. Moje jest za długie i wcale nie jest piękne. Mój dom zawsze był pusty: jest tam dwoje drzwi, mój lokaj przygotowuje rano wszystko to, co może mi być potrzebne w ciągu dnia. Potem zostaję sam. Mieszkanie ma potrójne zasłony z żółtego jedwabiu, białej koronki i brokatu, które osłaniają je przed nadmiarem światła. Kocham półmrok, w którym można podzemać. Wszędzie leżą dywany, cały dom jest nimi jakby okryty, żeby nie było zimno. W kominku w salonie jest zawsze napalone. Jestem zmarzluchem, w ciepłku czuję się szczęśliwy. Jestem tam zawsze sam, aby się rozzerwać zapalam orientalne kadzidełka, których zapach wypełnia pokój, palę papierosy albo czekam aż nadejdzie... kto? Sen, duch, piękna i dobra kobieta, która by mnie kochała i którą bym adorował...

- Zechce pani mnie odwiedzić? – dorzucił szybko, całując ją nagle w szyję.

- Nie, nie... – odpowiedziała Checchina, zasłaniając przed nim usta ramieniem.

- Przyjdź w środę, między czwartą a szóstą, przyjdź, Fanny.

- W środę nie... – odparła zwyciężona, słysząc to imię.

- To w piątek, o tej samej porze.

I, kłaniając się głęboko, wyszedł. Susanna oświetliła mu schody lampą naftową.

IV

Następnego ranka markiz d' Aragona posłał pani Primicerio bukiet białych róż i wanilii.

Anna Nowak
Filologia hiszpańska, V rok

Powieść jako forma krótka? Alejandro Zambra - *Życie prywatne drzew*

Alejandro Zambra (Santiago de Chile, 1975), wykłada literaturę na Uniwersytecie Diego Portales w Chile. Publikował poezję: zbiory *Bahía Inútil* (1998) i *Mudanza* (2003). Jest także krytykiem, recenzentem i autorem dwóch powieści: *Bonsái* i *La vida privada de los árboles* (*Życie prywatne drzew*). Znakiem rozpoznawczym tych swoistych „form krótkich” jest oszczędny, z pozoru prosty styl oraz zwięzłość (powieści te nie liczą więcej niż sto stron).

Nie mam wspomnień z dzieciństwa.

Georges Perec

...jak życie prywatne drzew albo rozbitków.

Andres Anwandter

I. Ciepłarnia

Julian zabawia dziewczynkę historiami o życiu prywatnym drzew. Wymyślił je, by pomóc małej zasnąć. Bohaterami są topola i baobab, które nocą, gdy nikt ich nie widzi, rozmawiają o fotosyntezie, wiewiórkach i o licznych zaletach bycia drzewem a nie człowiekiem lub zwierzęciem albo – jak same mówią – głupią bryłą cementu.

Daniela nie jest jego córką, ale trudno mu nie myśleć o niej jak o córce. Trzy lata temu Julian pojawił się w rodzinie – bo to on był tym, który się pojawił – Weronika i mała już tam były. To on ożenił się z Weroniką i w pewnym sensie także z Danielą, która na początku była mu niechętna, ale z czasem zaakceptowała nowe życie. Julian jest brzydszy niż tata, ale chyba sympatyczny – mówiła swoim koleżankom, które potakiwały z niespodziewaną powagą, jakby nagle zrozumiały, że pojawienie się Juliana nie było przypadkiem. W ciągu kilku kolejnych miesięcy, ojczymowi udało się nawet znaleźć na szkolnych rysunkach Danieli. Julian pamięta zwłaszcza jeden: ich troje na plaży, mała i Weronika robią babki z piasku, a on występuje ubrany w dżinsy i koszulę, czytając i paląc pod idealnym, okrągłym, żółtym słońcem.

Julian jest brzydszy niż ojciec Danieli, jest też młodszy, ale pracuje więcej choć zarabia mniej, więcej pali i mniej pije, rzadziej uprawia sport (w ogóle nie uprawia sportu) i więcej wie o drzewach niż o państwach. Jest bardziej śniady, bardziej skomplikowany i mniej poukładany niż Fernando. Fernando, bo tak nazywa się ojciec Danieli, musi mieć imię, choć nie jest przecież wrogiem Juliana ani nikogo innego. W rzeczywistości nie ma tu wroga. Na tym właśnie

polega problem, że w tej historii nie ma wrogów; Weronika nie ma wrogów, Julian nie ma wrogów, Fernando nie ma wrogów i Daniela, odliczając jednego zawadiackiego kolegę, który nieustannie robi jej figle, też nie ma wrogów.

Czasem Fernando jest plamą na życiu Danieli, ale kto nie jest czasem plamą na życiu kogoś innego.

Julian jest jak Fernando, tylko że bez plamy, ale czasem Fernando jest jak Julian, usunąwszy plamę.

A kim jest Weronika?

Póki co, Weronika jest osobą, która nie nadchodzi, która nie wraca z lekcji rysunku. Weronika jest kimś, kogo brak subtelnie zaznacza się w niebieskim pomieszczeniu – pokoju Danieli; białe pomieszczenie to z kolei pokój Weroniki i Juliana. Jest także zielony pokój, zwany przez nich żartobliwie pokojem gościnnym, bo niełatwo byłoby spać w tym bałaganie książek, teczek i pędzli. Zaadaptowali dużą skrzynię na letnie ubrania, żeby spełniała rolę niewygodnej kanapy.

Ostatnie chwile zwykłego dnia przebiegają zazwyczaj według niezachwianej rutyny: gdy Daniela zasypia, Julian i Weronika opuszczają niebieski pokój, potem, już w pokoju gościnnym, Weronika rysuje a Julian czyta. Co jakiś czas ona mu przerywa albo on jej, a te wzajemne zakłócenia składają się na dialogi, lekkie pogawędki, a czasem ważne i rozstrzygające rozmowy. Następnie przenoszą się do białego pokoju, gdzie oglądają telewizję lub kochają się, albo zaczynają się kłócić o błahostki, o nic, czego nie można by załagodzić zanim skończy się film albo póki jedno z nich nie ulegnie, bo chce już spać albo kochać się. Powtarzającym się finałem tych kłótni jest szybki i cichy numerek albo długie zbliżenie, z którego wymykają się subtelne pojękiwania i śmiechy. Potem śpią jakieś pięć lub sześć godzin i zaczyna się kolejny dzień.

Ale ta noc nie jest zwykłą, przynajmniej na razie. Póki co, nie ma całkowitej pewności czy będzie jakieś jutro, przecież Weronika wciąż nie wróciła z lekcji rysunku. Gdy wróci, powieść się skończy, ale dopóki jej nie ma, książka ma ciąg dalszy. Historia trwa dopóki ona nie wróci albo dopóki Julian będzie miał pewność, że ona już nie wróci. Tymczasem Weroniki nie ma w niebieskim pokoju, gdzie Julian zabawia małą historią o życiu prywatnym drzew.

Właśnie w tej chwili, skryte pośród samotności parku drzewa opowiadają sobie, jak to nie poszczęściło się jednemu dębowi, w którego korze dwoje ludzi wyryło na pamiątkę przyjaźni swoje imiona. Nikt nie ma prawa zrobić komuś tatuazu bez jego zgody – twierdzi topola. Baobab

jest nawet bardziej dosadny – Dąb padł ofiarą karygodnego aktu wandalizmu. Winni muszą zostać ukarani. Nie spoczną póki nie dostaną kary, na jaką zasługują. Będę ich ściagać do upadłego.

Mała śmieje się żywo, nie wygląda jakby miała zaraz zasnąć. Zadaje szczegółowe pytania, a nigdy nie jest to tylko jedno pytanie, muszą być przynajmniej dwa albo trzy, zadane z nagłej potrzeby, pełne niepokoju: Julian, co to jest wandalizm? Mógłbyś mi przynieść lemoniadę z trzema łyżeczkami cukru? Czy ty i mama zrobiliście kiedyś nożem na drzewie znak przyjaźni?

Julian odpowiada cierpliwie, przestrzegając kolejności pytań: wandalizm jest tym, co robią wandale, a wandale to osoby, które szkodzą z czystej przyjemności szkodzenia. Tak, pewnie, przyniosę ci lemoniadę. Nie, nigdy nie wyryliśmy z mamą naszych imion w korze.

Na samym początku, historia Weroniki i Juliana nie była historią miłosną. W zasadzie poznali się z powodów raczej handlowych. W tamtym czasie on przeżywał ostatnie chwile przeciąganego na siłę narzeczeństwa z Karłą, kobietą zimną i ponurą, która wkrótce miała stać się jego wrogiem. Karla miała urodziny. Wprawdzie nie mieli ochoty świętować, ale Julian postanowił, za radą kolegi z pracy, zadzwonić do trudniącej się wypiekami Weroniki i zamówić u niej ciasto karmelowe, które koniec końców umiliło Karli dzień urodzin. Kiedy Julian poszedł po tort do mieszkania Weroniki, tego samego, w którym mieszkają teraz, zobaczył szczupłą i śniadą kobietę, o długich prostych włosach, ciemnych oczach, powiedzieć by można typową Chilijkę, jej gesty były nerwowe, a ona sama ładna, poważna i wesoła zarazem. Miała córkę i pewnie także męża. Podczas gdy czekał w salonie aż Weronika zapakuje ciasto, Julian dostrzegł białą buzię małej dziewczynki. Chwilę potem dał się słyszeć krótki dialog między Danielą a jej matką, zdecydowana i sympatyczna wymiana zdań na jakiś temat z życia codziennego, być może mała przekomarzała się o mycie zębów.

Nie można z całą precyzją stwierdzić, że tego popołudnia Julian zakochał się w Weronice. Rzeczywiście, przez kilka sekund, sytuacja była trochę niezręczna. Julian powinien był wyjść z mieszkania kilka sekund wcześniej, lecz jeśli tego nie zrobił to tylko dlatego, że obserwowanie przygaszonej i klarownej twarzy Weroniki przez te kilka sekund dłużej sprawiło mu przyjemność.

Katarzyna Wójtowicz
Filologia romańska, V rok

Kilka tłumaczeń prozy i poezji oksytańskiej

Literatury mniejszościowe nie są zbyt popularne na świecie. Głównym problemem jest niewielka liczba tłumaczy, którzy przekładaliby np. z galicyjskiego czy bable. Literatura małych kultur jednak warta jest poznania głównie dlatego, że często prezentuje oryginalną tematykę, często sięgającą do fantastyki, oniryzmu, czy wyobraźni ludowej. Moim zamiarem było przedstawienie maleńkiego wycinka przebogatej współczesnej literatury oksytańskiej. Oksytański, jako język, nie posiada normy, dlatego też poszczególni pisarze tworzą w swoich ojczystych dialektach – np. w limuzyńskim czy wiwaro-alpejskim. Prozatorska i poetycka kreacja oksytańska jest niezwykle różnorodna, ulegająca nowoczesnym wpływom, jednak pozostająca w pewnej opozycji do literatury światowej. Poruszane motywy często przedstawiają małe wycinki zanikającej oksytańskiej rzeczywistości i tradycji w konfrontacji z dominującą kulturą francuską. Liczne są opisy przyrody, z którą mieszkańcy Południa czują się bardzo związani; a towarzyszy im melancholijny i senny nastrój przemijania.

Jaume Privat (ur. 1953, pisze w dialekcie langwedockim od 1970)

Bajka w cieniu.

było ciepło. szukałem cienia, ścian, chłodu. światło, lato – dziewczęta -. upał, zamknięte oczy, na wpół. ulica i woda, tam. woda śmierdzi.
iść za dziewczętami, szukać cienia. dachówki rozgrzane do białości, ciepło, bez śladu cienia. obcisłe spodnie, pod które wślizguje się spojrzenie. plac dusi ciężkim światłem. plac i ani śladu drzew, krzyż, krzyż nie dał mi cienia.
życie bez cienia nie jest życiem. Ani nawet cieniem życia.

Joan-Pau Creissac (ur. 1955, tworzy w dialekcie owerniackim)

W Arles

I
Ulica Arenas lo Mistral
Błądzi jak zjawą

A ja spaceruję
w poszukiwaniu obecności

Muzeum Arlantec, kobiety się śmieją
Obok posągu Frederica skręcają auta

Pusta ulica Arenas
Szukam cię

Domy wirują przepelnione
A może całe miasto i jego kopuły

II
Wyruszyłem wzdłuż Rodanu
Na przypadek spotkania

W barze blondynka
Śledzi mnie i daje znak

Idę, a miasto rozmywa się we mgle
Dziecko rysuje coś na kartce

Tam krąży kilka mew
Tuż nad ciemną wodą

W miejscu, gdzie jesteś, znikają ulice
W dal przez Rodan zabierane

Miqueu Miniussi (1956-1992, pisał po
prowansalsku)

Camargue

Blask popołudnia pod koniec października, astry
rzucają swe ostatnie błyski. Łódź przepływa
i rozwiewa ciemne powłoki morza pod chmurami.
Piana pryska, muśnięta promieniem, rozbłysk na
wodzie.

Nowa skóra. Heban. Guzik z kości słoniowej
i srebra. Dreszcze silnika.

Chodźmy. Będzie padać, drżą palmy. Kulawy walc
kartek z gazety na chodnikach. Gipsowe niebo
miażdży białe bezy hoteli.

Zamknięte okna. Powoli. Okolica jest nasza
a morze okrutne. Hotele, łodzie w przystani.

Iść, w ciszy i zapachu skóry, muskaniu jedwabiu.
Patrzeć, nie widząc.

Chodźmy. Fasady, skały, stiuki. Ostatnie kasyno,
zielone kopuły. Jesteśmy filmem. Cóż nam innego
pozostanie po deszczu, jak podążać bez przerwy
i do kresu sił za niedoścignionym krokiem
srebrnego Zwycięstwa?

Bernat Manciet (1923-2005, tworzył po
gaskońsku; prezentowany przekład jest fragmentem
powieści *Lo gojat de noveme – Listopadowy
chłopiec*)

Nie chcieliśmy wiedzieć i nigdy go nie spytaliśmy,
kim był i on też o nic nas nie pytał. Nie
próbowaliśmy się dowiedzieć, gdzie podążał
i myślę, że nawet Doktor, gdy go przyprowadził,

wiedział to tylko częściowo. Nazwaliśmy go
„listopadowym chłopcem”. Kiedy chciał jechać,
mówił to starej kuzynce z Barralh. W ten sposób
inni musieli być przygotowani, od jego wyjazdu, na
znowu zbyt duży stół i zbyt długie wieczory.

Tak naprawdę, nigdy nie zostawał dłużej niż cztery
dni, wstając później niż my, gorliwie podając rękę
mej matce, podnosząc jej szal, gdy frędzle ciągnęły
się po ziemi, przechadzając się z nią wzdłuż łąki
albo ścieżką między sosnami. Już wtedy nasze
interesy zaczynały iść coraz gorzej i jestem pewien,
że jego sposób mówienia o tym i o tamtym
pomagał matce zapomnieć o kłopotach. Któregoś
dnia poznałem po ich wyglądzie, że rozmawiali
o mnie: udawali, że nie chcą się obrócić.

Nie podobało mi się jego milczenie - tak często nic
nie mówił - ani jego zwyczaj głośnego myślenia,
gdy mruczał sam do siebie „Zaczynam być głodny”
albo „Nudzę się”. Niech mi Bóg wybaczy, nie
chciał nas obrażać; opowiadał tylko sobie historie,
nie zdając sobie sprawy, że mówi. Kiedy go
zostawiałem wieczorem, przekraczając próg, wiele
razy miałem ochotę zostać w ciemności, aby
usłyszeć, czy nadal mówi sam do siebie i czy się
modli. Tak naprawdę, wydawało mi się, że tego nie
robi i wprawiało mnie to w złość. Nie znosiłem
także, że mój pies, dosyć dziki wilczur, lubił go
bardziej ode mnie i nie szczekał, gdy on
przychodził.

Jednego wieczora, gdy kuzynka z Barralh miała
gorączkę i musiała wziąć dużo chininy, moja matka
poszła czuwać przy niej i po wielu godzinach wiatr,
ostry wiatr, przynoszący stukot kopyt ekspresu
z Hiszpanii, na równinie Morcens, po godzinach
milczenia przed dębowym polanem, zaprowadziłem
chłopca do jego pokoju, jak zwykle. Ale na środku
korytarza zabrał mi z rąk świeczkę. Nie patrzył na
mnie.